

# Waligóra, tom trzeci





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

# *Waligóra*

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW LESZKA BIAŁEGO

# TOM III

## I

Wstał nazajutrz Jaszko do dnia, w błogiej nadziei doczekania się sądu na Odrowążu i w roku, a potem zawiezienia wiadomości o wypadku tym do Krakowa. Zdało mu się że sama Opatrzność mści się na wrogim rodzie za to co poczytywał krzywdą Jaksów.

Był to jakby znak z nieba dla niego że teraz przewaga nienawistnego plemienia zachwieje się, a Jaksowie pójdą górą. Jeden z nich wszakci zdobył już sobie księstwo i nie chciał nad sobą znać zwierzchnika!

Sulenta, który jako starzec mało sypiał obudził się także rano i gdy Jaszko do wyjścia się zabierał, powitał go u drzwi.

— Co tak W. Miłość spieszy do miasta, — rzekł, — u św. Wincentego jeszcze msza się znajdzie, bo na pierwszą nie dzwoniono.

— A ja nie do kościoła, ale na zamek muszę, — zawołał Jaks. — Wiecie że starego zbója Odrowąża sędzić i ścinać mają.

Muszę się tam dostać aby na to widowisko popatrzeć.

Sulenta z pod oka nań spojrział, mruknął coś i wypuścił go nie zachodząc w dłuższą rozmowę.

Od dworku do grodu drogi było kawał, a na mieście postrzegł Jaszko zaraz jakieś poruszenie i życie niezwykle.

Sądził że dzień musiał być targowy, bo na taki czas w mieście co żyło biegło na rynki, uprzedzając przekupniów, aby z woza taniej dostać co do życia było potrzeba. Przekupnie zaś zabiegali po drogach jadącym na targi, wykupywali im wszystko i cenę podnosili. Każdy taki dzień targu poruszał mieszkańców i był do południa jakby świątecznym, gdyż wszyscy około wozów się skupiali.

Tu jednak wozów i kupi żadnej widać nie było, stały zwyczajne ławki i jatki porozstawiane jak w dni powszednie. Ludzie się jednak gromadzili kupami, stawali, rozpowiadali coś sobie i spoglądali ku grodowi, z którego wyjeżdżały oddziały konne w różne strony, a inne do niego powracały.

Wołania, pytania, gorączkowe zajęcie wszystkich jakimś nadzwyczajnym wypadkiem przypisywał Jaks. mającemu się tego dnia odbywać sądowi, przychodziło mu na myśl czy z Krakowa nie przybyło jakie poselstwo od Biskupa z domaganiem się okupu dla starego.

Wśród tego gwaru i ruchu, uderzyło go i to że dostrzegł dobrze sobie z Krakowa znajomego, bo go tam całe miasto znało, biskupiego służkę, Kumkodesza. Ten zsiadał właśnie z konia przed domostwem jakimś, i gromadka ludzi już go otaczała.

— Ani chybi, — rzekł Jaks. w duchu, — kleryk musiał z kimś przybyć w tej sprawie, bo jego samego nie wysłanoby z tak ważnym poselstwem...

Chociaż Jaszko z bratem Andrzejem nie był teraz najlepiej, widywał go dawniej a przy nim i Kumkodesza, który się wszędzie płatał.

Wesoły zazwyczaj kleryk twarz miał wylęknioną i osowiałą. Ciekawością wiedziony Jaszko podszedł ku niemu.

Kumkodesz niemniej się zdziwił zobaczywszy go tutaj, bo wieść po Krakowie chodziła, nie wiedzieć przez kogo szerzona że Jaszko zbiegł do Światopełka. Kleryk zobaczywszy go, — mocno się zdał zmięszany...

— Co wy tu robicie? — zagadnął go Jaks. ze złośliwą wesołością — wszakci to waszego pana, księdza Iwona brata dziś tu sędzić i pono ścinać mają. Czyście zawczasu po ciało nieboszczyka przyjechali?

Kumkodesz ramionami parę razy rzucił jakby z pleców chciał coś otrząsnąć.

— Ponoś — rzekł szydersko również — starego Waligóry do sądu nadarmo szukają. Gdzieś się podział.

Jaszko sądził że z niego żartuje.

— Chyba nocą go udusili! — zawołał.

Wtem mieszczanin cienki, podpasany rzemieniem, w sukni bardzo długiej i kołpaku z piórkiem przystąpił z twarzą niezmiernie rozognioną.

— Nie ma go — rzekł prędko — jeszcze w nocy go nie stało...

— Jakim sposobem? — krzyknął oburzony Jaksa, machinalnie chwytając za oręż.

— Licho mu pomogło — mówił chudy mieszczanin — bo bez szatańskiej pomocy tegoby nie dokazał. Ja sam byłem na zamku, chodziłem patrzeć do więzienia. Nadludzka jakaś siła była z nim. Sam widziałem na moje oczy!! Jedno okno w górze, żelazną kratą zakute... Kamienie z niego powyrywane, żelazo precz wyłamane... A był w kij związany, ręce i nogi. Podśędzia Gerwart widział go jeszcze wieczorem leżącego, że ruszyć się nie mógł... Wszyscy mówią że sprawa szatańska...

Nie może co innego być — szatan mu pomagał do opętania mniszki, a potem go i z więzienia wyzwolił.

Jaksa ręce załamał z rozpacz.

— Któżby to inny dokazał, jeżeli nie siła nieczysta? — żywo mówił mieszczanin. — Czterech ludzi nie sprostałoby murowi i żelazu. Szatan też stróżów uspił — wyszedł sobie swobodnie, furkę na wał otworzył, po nocy drogę znalazł... a kupcom co jechali ze Szczecina konia od wozu oderwawszy, na nim uciekł. Czelaź kupca przysięga się, że gdy konia brał, a oni gonić chcieli, coś ich niewidomego do wozów przykuwało. — Nie mogli ani się ruszyć ani krzyknąć.

Mieszczanin od nieustannego mówienia, bo już powieść tę kilka razy, coraz piękniej powtarzał — zaślinione usta otarłszy rękawem — chciał ciągnąć dalej, gdy Jaszko już go nie słuchając odwrócił się do Kumkodesza.

— Wy tu na długo? — zapytał — a wolno wiedzieć za czym?

— Do księdza Biskupa przybyłem od mojego pana — spokojnie odparł kleryk. — Ano nie mam szczęścia, bo mi już zwiastowali że Pasterza nie zastałem i nie powróci rychło, ja też tu pomodliwszy się tylko relikwiom świętym magdeburgskim... nazad jadę.

— Trafic się jeszcze gotowo — rozśmiał się gorzko Jaksa — iż razem pojedziemy i będzie się ludziom zdało że z kanclerzem lub kapelanem podróżuję.

— Za wielka to cześć byłaby dla mnie — pokornie odparł Kumkodesz. — Mizerny człeczyna jak ja tak wielkim panom jako wy, nie godzien służyć.

Jaszko szyderstwo w tem poczuwszy, krzyknął.

— Ano, wara z przekąsami!

— Czyż nie prawda? — odparł Kumkodesz, — przecie krewniaku macie księżęciem na Pomorzu, co się odgraża że co Krzywousty poodrywał od niego, ma nazad zdobywać... Kto wie i was może czeka stołek jaki księżęcy.

— O! ty lisie stary! Odrowążowski sługo, — ze złością odezwał się Jaksa — ty byś rad i twoi żeby mnie zamiast stołka pieńiek czekał!!

Pięść podniósł do góry.

Kleryk który nie zmieniał twarzy, i w oczach tylko miał szyderstwo, począł się zarzekać złej myśli.

— Zostawcie mnie w pokoju, — odparł — Kumkodesz dla was za mały. — Nie wiem czy znacie łańskie przysłowie że, orły much nie łowią. Wy do orłów a ja do komarów należę.

To mówiąc pokłonił się i ustąpił na stronę. Jaksa którego wiadomość niespodziana rozgorączkowała, zasłyszawszy od kleryka iż w Krakowie już go miano za zbiega — zwrócił się ku niemu i za suknię go targnął.

— Dajcień pokój — ojcie — odezwał się hamując trochę — powiedźcie prawdę, istotnie mnie tam już za zdrację i zbiegłego ogłosili...?

— Sam Wojewoda przecie, użalał się bardzo żeście mu uszli — spokojnie odrzekł Kumkodesz. — A panu Wojewodzie, ojcu, jużci choćby nie chciano, wiarę dać potrzeba.

Jaszko zagryzł usta.

— Ma już tak być że mnie jak więźniowi i na łowy nie wolno jechać — zawołał. — Sulenta kupiec świadkiem zem tu myślistwem się bawiąc, cały czas u niego przesiedział. Zaraz niepoczciwi łotra ze mnie jakiegoś zrobili.

Wróć więc do Krakowa, żeby im kłam zadać. A wy kiedy jedziecie? — zapytał.

— Sam nie wiem, bo może u Cystersów w Henrychowie albo gdzie księdza Biskupa znajdę — rzekł zimno Kumkodesz, jakby wiązania się z nim unikał.

Widząc tę niechęć ku sobie, Jaksa poszedł dalej w miasto..., szukać Nikosza.

Około grodu ludzi zbrojnych i czeladzi jeszcze się więcej skupiało, gawieź miejska ciekawa chciała widzieć więzienie z którego siłą szatańską wyrwał się Waligóra, lecz już

z rozkazu kasztelana nie puszczano nikogo. Straże stały w bramach i rozpędzały tłumy. W twarzach Niemców złość widać było i gniew wielki.

Nie chciano też puścić i Jakse, choć się opowiadał do Nikosza, a nie bardzo go i słuchał kto — choć rycersko był przybrany.

Pomiędzy Niemcami a polskim dworem, słychać było zajadle sprzeczki i krzyki.

— Nie kto mu pomógł tylko swoi — wołali Niemcy. — Książę żadnemu z nich wiary dawać nie powinien, zdrajcy są!!

Ślężacy się bronili, lecz ich zakrzykiwano. Rozmowy jaką taką lecz samą niemczyzną się tego dnia prowadziły.

Jaszko ich słuchał i byłby stał u wrót z innemi długo może, gdyby Peregryn na koniu nie podjechał, którego poprosił ażeby go do Nikosza wpuścić kazał. Pachółkowie dali mu wnijsć.

W pierwszym podwórzu, zastał starego przyjaciela, zaczerwienionego i zaperzonego z gniewu, także się ucierającego z Agazonem Niemcem. Rad był pewnie Nikosz gościowi, który go od zażartej kłótni odciągnął, bo z nim do izby poszli.

Nikosz cisnął czapkę o stół wchodząc.

— Dalej tu wyżyć nie będzie można żadnemu z nas — krzyknął — Niemcy nam dojadają będą aż wykurzą. Stary książę bronić nie śmie, młody jeden co się czasem ujmie i u niego opiekę człek znajdzie...

Patrzcie ino! — dodał zwracając się do Jaksy, który za stołem siadł — my winni że Mszczuja źle pilnowali. — My go uwolnili — my mu pomogli!!

Niemcom o to idzie aby się zbyć nas i żeby tu sami królowali.

— Mój Nikosz — przerwał zagniewanemu Jaksa, — juści tu ktoś winien musi być. — Sam ten człek nie mógł związany porwać sznurów, kraty wylamać i dobyć się z jamy...

— Szatańska moc! kto go wie jak się to stało — zawołał Nikosz. — Stróże spali u drzwi i niesłyszeli nic. Stary leżał z wieczora jak kłoda. Podśędzia chodził do niego. Żeby ten polakiem był, na Gerwarta by winę złożyli, szczęściem niemiec...

— Ale ja już tu nie wybędę! — począł Nikosz...

— A wdowiczka? — mruknął złośliwie Jaksa.

Stary, baryłowaty sługa książęcy westchnął mocno.

— Gdyby mnie ona tu nie trzymała, pocziwa, pobożna moja wdowiczka, dawnoby mnie tu nie było — zawołał.

Milczeli trochę. Nikosz gniewu wysapać nie mógł. Stawał, chodził, pięścią w stół bił, i o gościu zapominał, tak mu niemcy oskarżeniami swemi krew poburzyli.

Dobyć z niego nic nie było można, oprócz sierzdzystych przekleństw.

Jaszko chciał koniecznie widzieć więzienie, z którego stary się wymknął, lecz skłonić Nikosza do pokazania mu go nie mógł.

— Wiesz co, na pociechę u Sulenty wyproszę starego miodu dzban — odezwał się Jaksa — tylko mi daj tę jamę zobaczyć...

Nadzieja miodu, czy też starej przyjaźni wspomnienie skłoniły wreszcie Nikosza, iż z Jaksą ku podwórkwowi powlókł się, na które wychodziło wylamane okno więzienne.

Można było w istocie szatana posądzić o posiłkowanie człowiekowi, który kratę dobywając z nadludzką siłą, ogromne kamienie tak zachwiał i z miejsca poruszył, iż zdawały się blizkie runięcia.

Stali tu właśnie poważni ludzie roztrząsając kwestyę zawikłaną wylamania się, sędzia Adalbertus, rozjuszony prolokutor Herman i piękny a spokojny podsędzia Gerwart. Wszyscy oni godzili się na to, iż Satanas sam tylko mógł dokazać tego cudu, i że uwolnienie więźnia było jego potępieniem, bo dowodziło z kim zostawał w przymierzu.

— Był związany tak, iż na rękach leżał — mówił Gerwart — obrócić się nie mógł a i nogi miał pokrepowane.

— Stróże przekupieni być mogli — rzekł Adalbertus. — Nie jest to bezprzykładnem, i godziło by się ich poddać probierczej kaźni.

— Chłostać ich już wszystkich kazałem rano! przysięgają — odezwał się Herman — że u drzwi leżąc nic nawet nie słyszeli...

— A i to godne uwagi — dorzucił sędzia z powagą — że pogoń się puściła na wszystkie strony nocą na dzielnych koniach... że zarośla i lasy dokoła przetrzęsiono... ani śladu!

Tu twarz jeszcze uczyniwszy poważniejszą, jak gdyby zbierał się powiedzieć coś największej wagi, odezwał się tonem nauczającym.

— Nie jest to bezprzykładnem, że gdzie zachodzi interwencja siły nieczystej, djabełskiej, tam ludzie w powietrzu się unoszą, jak wiedźmy o północy... Szatan ma potęgę ogromną a swoich wybranych, tych co mu w postaci kozła wiadomą cześć oddają, opatruje w skrzydła, czyni niewidocznymi... przemienia ich w zwierzęta. Tylko krzyż w takim razie użyty może złamać tę szatańską moc...

Mówiąc to, wskazał na okno i zakończył.

— Niech mi tu nie mówi nikt, aby to człowiek miał dokonać...

Herman wpatrując się, ramionom i piersi dyszącej gniewem spoczywać nie dał. Jemu najwięcej żal było tej ofiary, która mu się z rąk wysliznęła.

Postawszy sędziego, podśędziego i ich pomocnika, odeszli z wolna, a kolej przyszła na Jakse, który z pochmurnym czołem rozpatrywał wszystko i klął siły nieczyste.

— A z tąż niewiastą którą on był uwiódł co się stało? — zapytał Nikosza.

— Same cuda! — mruknął otyły — człowiek tu nic nie rozumie. Przyznała się sama, że ona go nie on ją namawiał, że miała strach i wstręt od klasztoru, tymczasem gdy księżna przybyła i nie dając jej od siebie odstąpić, modlić się z nią zaczęła — rozplynęła się w łzy, skruczę i za łaskę prosiła, aby jej zaraz habit nowicjuszeki dano...

Księżna po takim zgorzeniu nie chciała już ją gwałtem ciągnąć za kratę, padła jej do nóg i prosiła aż otrzymała, że ją zaraz odziano...

Pojechała do Trzebnicy, mówiąc to, że księżnej odstąpić nie chce, aby ją inna władza, której się lęka nie opanowała.

A to co z nią — dodał Nikosz — dzieje się z innymi, bo księżna władzę taką ma, iż modlitwą ludzi przemienia, pokładaniem rąk uzdrawia, wejrzeniem nawraca — albowiem święta pani jest.

— Księżę też rad się pono modli i naśladuje ją — dodał Jaszko.

— Ale on póki z nią, póty się świata zapiera — gdy zostanie sam, wraca mu dawna natura i na przymusowe swe wdowieństwo narzeka. Pobożny pan jako i synowie oba — a z nią się im nie mierzyć...

Jaszko aby mieć co opowiadać w Krakowie, spuścił się jeszcze z Nikoszem do więzienia otwartego, przypatrzył roztrząsionej słomie, porwanym sznurom, które wzięwszy w dłonie silne, nie mógł ich rozerwać, — i musiał się zgodzić z powszechnem zdaniem, że sam szatan więźniowi pomagał.

Poczem poszli na miód do Sulenty, a Trusia, który czatował na nich u wrót, wkradł się za nimi do izby, aby panów ubawiać.

Potrzebowali tego, bo nie weseli byli i dzban z pomocą błazna ledwie ich potrafił nie rychło rozchmurzyć.

Trusia na wypadki zamkowe zapatrywał się ze swojego błazeńskiego stanowiska. Figiel jaki szatan stróżom wypłatał, był mu do smaku.

— Dobrze juchom tak — mówił — dostali dziś rano od pana Hermana w podarku każdy najmniej po... grzywien czerwonych pięćdziesiąt... To jeszcze i dziesiątej części im nie wypłacono tego, co oni na drugich wyekspensowali. Niebożątka, nieprędko resztę długu odbiorą...

— A i tobie by coś należało! — zawołał Nikosz.

— Za co? — zapytał przelekły Trusia.

— Że się z cudzej biedy naigrawasz — odparł urzędnik.

— Miłość wasza wie, że my to jedno mamy na świecie — rzekł Trusia — iż nam się ze wszystkiego śmiać wolno. Za to nas nogami kopią kto chce, na twarz nam plują i łają co się zmieści...

Do późnej nocy Trusia błaznował im, śpiewał i skakał, koziołki wywracał i sprośne żarty prawił, aż go dobrze podpiłego precz pod wrota wypchnięto. A że dalej iść nie mógł, Trusia kołpak z kukawką na oczy i uszy nasunął, opończą się otulił i piosnkę mrużąc pod wrotami usnął.

Tu go leżącego i snem twardym zmorzonego, nazajutrz rano pominął wyjeżdżający Jaszko... Nie chciało mu się do Krakowa, nie chciało, — lecz musiał.

Samo z ojcem spotkanie, groziło gniewem, który tylko poselstwo Światopelka rozbroić mogło. Syn ten, o którego się obawiał, wiedząc że go w rękach utrzymać trudno, był dla wojewody nieustanną troską.

Z podróżą się tak obrachował Jaksę, aby nocą przybyć do miasta, ile możliwości niepostrzeżonym! Stało się też jak chciał, bo przestawszy na popasie godzinę nad potrzebę, o mroku wśliznął się za wał i bramę, prosto ciągnąc do ojcowskiego dworca.

Tu się go wcale nie spodziewano, zdziwienie było wielkie. Jaksę bowiem gdy wyruszał, tak był pewien iż nierychło wróci, że psy nawet swoje i niepotrzebny sprzęt między ludzi rozdarował. Izby w których mieszkał, były już przez czeladź i kapelanów zajęte.

Wojewody ze wsi dopiero się nazajutrz spodziewano. Jaszko tymczasem spoczywał.

Leżącego w półśnie zbudził powracający ojciec który dowiedziawszy się o synu, jak stał z drogi, niezrzucając kożucha, wpadł do niego — gwałtownie się domagając dla czego i z kąd wracał tak rychło.

— Naprzód to powiedz mi muszę, co za wszystko inne stanie — rzekł Jaksę.

Tu do ucha zbliżył się ojcu.

— Światopelk mnie nazad do was odprawił.

Stary nagle się uspokoił, a że u drzwi stał dwór jego, urwał rozmowę i obejrawszy się, rzekł tylko.

— Przyjdiesz za czas mały do mnie, ludzi odprawię. Zawołaj cię każę, gdy będę chciał rozmówić się.

W dobrą trafił godzinę powracający.

Marek wojewoda właśnie był na ten dzień, albo raczej na tę noc sam jeżdżąc po powinowatych swoich zwołał ich na radę do Krakowa. Popis jakiś wojskowy służył za pokrywkę.

W istocie możny ród czujący siłę w sobie, coraz się więcej trwożył przewagą Odrowążów, którzy mieli na czele świątobliwego biskupa Iwona. Ten stał tak przy Leszku, iż im do niego przystępu bronił.

Odrowążowie acz silni, ani liczbą, ni majątnościami, ani przebiegłością ludzką nie sprostali Jaksom. Biskup Iwo więcej pracował dla kościoła niż dla rodziny, więcej dbał o rozkrzewienie wiary niż o doczesną moc. Najzdolniejszych synowców swych oddał Dominikowi na apostołów zakonu. Jaksom się przykrzyło stać na uboczu i czekać, gdy ich Światopelk tak już potężny będzie mógł podeprzeć.

Za wojewodą zaraz ściągając się poczuli powinowaci, stryjeczni, bratankowie, pokrewni i co tylko z Jaksami trzymało, a do nich się garnęło, wszystko co Leszka mieć nie chciało nad sobą.

Prawie niepostrzeżenie kilkunastu średnich i starszych lat ludzi, z umysłu poodziewanych skromnie, wjechało do dworca. Żupanów w nich, możliwych comesów i urzędników znacznych nie łatwo było poznać. Izba do narady wybrana była mała, od ogrodów, gdzie ich ani światło zdradzić, ani obcy podsłuchać nie mógł...

Wojewoda wszedłszy do gromadzących się, szepnął im, że Jaszko tylko co od Światopelka z poselstwem wracał. Czekali więc nań niecierpliwie odgadując zawczasu z czem przyslanym być mógł.

Posłano po niego.

W rodzinie swej Jaszko, którego ojciec lubił dosyć, miru nie miał. Odrowążowie obwiniali go, iż ich skaził postępkem nieopatrzonym i po szalonym dokonanym. Nie wierzyli mu bardzo...

Znalazł też na wstępie przyjęcie zimne, wejrzenia niespokojne, usta milczące.

Dwu stryjecznych wojewody siedzących za stołem, ledwie go skinieniem powitało. Młodzi też patrzali niechętnie.

Jaszko to czuł, musiał więc butą nadrabiać, a ważnym się czynić sam, gdy go za takiego mieć nie chciano.

Począł opowiadać wyprawę swą, ubarwiając po swojemu, jak i co we Wrocławiu słyszał i widział, co u Konrada.

— Konrad — rzekł — ze Światopelkiem znają się, ale bratu na brata wystąpić nie godzi się. — Będzie stał a czekał, palcem dłoń nie ruszy...

Pokiwali starzy głowami z powątpiewaniem.

Dopiero Jaszko im zeznał, że potajemnie Światopełk jeździł do Płocka i jak mu do Plwacza do Uścia towarzyszył.

Zaczęli się dopytywać o Odonicza z zajęciem wielkim, bo ten już jako pobratany ze Światopełkiem i im był powinowaty a swój.

— Ale z czemże cię do nas odprawił? — zapytał wojewoda.

Jaszko się zadumał trochę jak powiedzieć...

— Światopełk — odparł — wojny nie chce, bez niej się obejdzie a nieprzyjaciela zgładzi. Leszek też do wojowania nie skory i pokój woli a rozjemstwo duchownych. Namawiać trzeba pana na zjazd dla ugody, i żeby miejsce naznaczył niedaleko pomorskiej granicy — a ztamtąd oni cało nie wyjdą!...

Na tak rzeko wypowiedziany zamysł Światopełka — wszyscy umilkli poglądając jedni na drugich. Sam wojewoda nie przyjął ochotnie tego planu.

— Dużobyśmy ważyli — rzekł. — Po co się krwią mazać mamy, kiedy go wygnąć można a Odonicza w jego miejscu posadzić... Zejdzie sam ochotnie, tak jak Laskonogiemu ustąpił, byle przewagę widział.

— Zjazd — rzekł Adaszko stryjeczny — ho! ho! bez duchownych się nie obejdzie, a jak się oni zjadą, zgodę uczynią. — Cóż? na nich z orężem napaść? a toć nas wyklną i rozpedzą, że jak ci co ze Szczodrym trzymali na wygnanie wszyscy iść będziemy musieli!! Światopełkowi co za światem do morza przyparty siedzi łatwym się to zdaje.

— Cóż ważyć będziemy my? — mruknął Jaszko. — Światopełk na siebie weźmie wszystko. Nie uda mu się, my cali zostaniemy...

— On paść może! — rzekł wojewoda — a bez niego i my słabi będziemy.

Ze wszech kątów rady się odzywały przeciwne. Jaszko na ławie siadłszy milczał, dopiero gdy go o Światopełka pytać zaczęto, wysławiać go zaczął.

— Rycerz prawy jest i mąż siły wielkiej — rzekł — mówi mało, ale nieulekniony jest i wie czego chce, a co chce to potrafi. Nam z nim i za nim iść, albo się poddać i zginąć.

Widziałem go na dworze Konrada, gdzie o nim prawie żywa dusza nie wiedziała i u Odonicza i w podróży... Patrzałem zaplątawszy się do obozu na Laskonogiego, który poszedł Uście oblegać, wszyscy oni przy nim, Henryka nie wyjmując, słabi są. Konrad by mu może jeden sprostął, ale z tym oni idą razem...

Powoli ta myśl zjazdu z początku niechętnie przyjęta, zaczęła się przyjmować...

Jaksom przypadało co najłatwiejsze, namawiać do zgody i pojednania. — Bezpieczniej im było z tem.

Krwawa tylko plama którą za tym zjazdem widać było — odrażała wielu.

— Krwi nie trzeba — pójdzie Leszek do Sandomierza na ojcowiznę i z siostrą siądzie przy klasztorze. Więcej nie może chcieć — mówił jeden. Zechcą jego uśmiercić, rzeź będzie wielka, a w niej kto padnie, jeden Bóg wie.

Uchwalono posłać do Światopełka, lecz tymczasem myśl zjazdu siać, aby powoli wschodziła. Wola Światopełka więcej miała wagi niż rady inne...

Późno w noc się rozeszli...

Nazajutrz już w mieście ten i ów wiedział, że Jaszko z łowów na Szlązku powrócił.

Sam ojciec mówił o tem, skarżąc się, iż go o ucieczkę pomawiano, gdy tylko znudzony bezczynnością w lasach szukał rozrywki.

Tegoż dnia do mistrza Andrzeja doszła wiadomość o bracie, którą się poważny mąż uradował i na dwór ojca pospieszył, zapomniawszy urazy bratu.

Ale Jaszka już nie było, bo swoich miejskich druhów i drużki pilno chciał odwiedzić i na cały dzień wyruszył.

Mistrz Andrzej zastał ojca tylko.

Wojewoda z wyprawy Jaszka przed księdzem nie mógł się tłumaczyć, wiedział że do tajnych spisków należeć nie zechce i że je potępia.

Z rozmowy wyszło co po świecie o wojnie Plwacza z Laskonogim prawiono, o Światopełku i o innych sprawach. Stary wojewoda od niechcenia rzekł:

— Leszkowa powaga wszystkiemu temu koniec by położyć mogła. Niech zwoła zjazd kędy pośrodku tych ziem o które się spory toczą i krew przelewa, będą musieli książęta być posłuszni — i tak się wszystko zgodzi.



— Sami książęta — odezwał się mistrz Andrzej — nie dokażą nic, ale duchowieństwu tam przypada do czego je Bóg wyznaczył, ażeby rozjemcą było i różczkę oliwną przyniosło. Bez panów biskupów pokój nie stanie...

Wojewoda trochę zmilczał.

— Spraw tam duchownych do roztrząsania nie będzie — rzekł krótko.

— Pojednanie to duchownych sprawa — odpowiedział syn. — Nie byłoby komu spisać i przypieczętować zgody, gdyby ich nie było. A gdzie starszy książę zasiada, tam i najstarszy nasz pasterz gnieźnieński powinien być. Świecka moc bez duchownego potwierdzenia nie waży.

Nie sprzeciwił się wojewoda.

Było tak w istocie, nie tylko w Polsce, lecz w świecie całym, że bez stolicy rzymskiej zgody i zatwierdzenia akt żaden poszanowanym nie był. Cesarskie uchwały czekały na nie i mocy nabierały dopiero, gdy Rzym je uznawał. Wprawdzie groźby klątw kościelnych przez zbyt częste rzucanie ich i oswojenie się z niemi znacznie na sile straciły, wszakże kto walczył jak cesarz sam z anathemą, kto pozornie ją lekceważył, musiał w końcu uleść lub upaść.

Mistrzowi Andrzejowi myśl ta którą ojciec podawał, zdała się bardzo szczęśliwą. Zgadzała się z usposobieniem Leszka, była dogodną duchowieństwu, które swój wpływ mogło dać uczuć i nie dozwolić mu osłabnąć.

Tegoż wieczora mistrz Andrzej wspomniał o tem biskupowi Iwonowi.

— Kościół — odparł pobożny pasterz — nie może odpychać nigdy żadnego środka wiodącego do zgody, zapewniającego pokój.

Zjazd może być obfitym w błogie skutki, lękam się tylko, jeżeli go zechcą nieprzyjaciele Leszkowi, aby nie krył w sobie podejścia jakiego i zdrady...

Serce moje ogarnia niepokój, choć rozum mówi za takimi paktami, które kraj na długo obdarzyć mogą spoczynkiem...

A gdzież więcej go potrzeba jak tu w ziemiach leżących odłogiem, wśród ludu co jeszcze ochrzcił się tylko z wody nie z ducha?... Moglibyśmy nasze święte kolonie rozmnażać, apostołów sprowadzać, szkółki zakładać, kościoły stawiać i poganom nad granicami groźnemi być... Co niech Bóg da. — Amen.

## II

Spała stara prządka snem błogosławionym ludzi co trosk nie znają. Spała w kątku, wygodnie głową oparta o ścianę, z usty uśmiechającymi się marom sennym, oddychając lekko, z jedną ręką na piersiach, z drugą w dół spuszczoną... Palce chciały jeszcze trzymać nic jedwabną, która się z nich wymknęła, a wrzecziono potoczyło się na podłogę... Ono też potrzebowało odpoczynku i leżało sparte o nogi prządki niby tak uśpione jak ona.

W ognisku gorzały kłody olchowe i drzazgi smolne, a płomyki ich żółte, sine, zielone i węgle rozżarzone różowo splatały się w barwy tęczowe, wesołe... Drzewo mruczało paląc się, szeptało, syczało, mówiło głosami różnemi, których miło słuchać było. Zdały się one mową tajemną innego świata, i jakby wtórem do ludzkiej pieśni przy ognisku nuconej...

Błask od niego padał na ściany nierówne, migocący się, drżący... Płomienie na przemiany świeciły w różnych stronach i posyłały światło swe po zakątach, zaglądając do nich ciekawie.

Padła czasem jasność na twarz starej prządki, oblała ją całą i z dala patrzącym pokazała że usnęła głęboko, że przebudzenia lękać się nie było potrzeba.

Stojąca u ognia wpatrywała się najpilniej w śpiącą, stara Dzierła, tego dnia staranniejsze jeszcze niż zwykle przystrojona... Jej się też jeszcze uśmiechał jakiś odblask młodości choć cudzej.

Oczy jej ciskały płomienie, wążkie usta składały się do wesołego wyrazu... Okryta szeroką płachtą z pod której widać było we wstążki i blaszki przystrojoną głowę, Dzierła miała pas czerwony, którym ścisnęła się aby sobie młoda nadać postać, a spódnice swe kraśne poupiniała zalotnie... Na szyi wisiało różnobarwnych pereł co niemiara.

Dalej na ławie przytulone do siebie, niespokojne i smutne jak dwa gołąbki przypadły dwie Halki. — Ręce miały założone na szyje, głowy pochylone tak że się skroniami sty-

kały. Ich dwie stanowiło tę jedną istotę dziwną, którą los rozdziwił aby może podwójnie cierpiała.

Oczy dwóch Halek ciągle w tamtą patrzyły stronę kędy stara prządka spała, potrzebowały tego snu, pożały, czekały.

Z ich niepokoju śmiała się stara Dzierła na przemiany spoglądając to na nie, to na prządkę i bawiąc się snem jednej, a drugich oczekiwaniem...

Cicho było w izbie... tak cicho jak gdy późna noc wszystkich do snu ukołysze, ogień tylko śmiał się, płakał, szczydził, trzaskał i czasem dziewczęta nabawiał strachem ażeby prządki psotnik nie rozbudził.

Ona spała — a sen jej był tak głęboki jakby nie przyszedł sam, jakby go powołano na stróża... I obok na ławie na której usnęła widać było kubek drewniany wypróżniony, a oczy złośliwe Dzierli, często nań padały.

Podeszła ku śpiącej na palcach, powoli, skradając się, stanęła, posłuchała, popatrzała, ostrożnie wzięła do ręki kubek, zajrzała doń, przewróciła i pokazała dziewczętom że nie było w nim ani kropli.

Z uśmiechem zwyciężkim postawiła kubek na miejscu, zręcznie i lekko białą chustą nakryła twarz uspionej, odstąpiła od niej i poszła do Halek...

— Choćby pioruny były nie zbudzi się już aż gdy drugie kury zapieją! O! bądźcie spokojne! Wszakżeście widziały, że ja sen umiem dać i odebrać... A taki to dobry sen, słodki, że przez niego aniołów widać — i jak się człek zbudzi, wszystko mu się czarnem wydaje, i myśli że spał chwilkę, choć noc przemarzył całą...

Teraz cicho! Idę i wracam...

Skinęła z porozumieniem na dziewczęta, które drgnęły jakby ze strachu i radości razem i mocniej jeszcze przytuliły się do siebie. Uśmiechnęły się, zawstydzone spuściły oczy...

Dzierła z tą samą ostrożnością jak wprzódy, na palcach postąpiła ku drzwiom, otworzyła je powoli aby nie skrzypnęły, zamknęła za sobą... znikła...

Ogień czekał na to widać by wiedźma mu dała swobodę — błysnął jaśniej, oblał się barwami żywsem, zaczął świstać wesoło... Razem syczało coś w nim i piszczało i śpiewało... coraz głośniejsze... Niekiedy puknęło i dymek wymknął się do góry sinym promykiem.

Halki słuchały a te głosy wydały się im groźne i smutne a szyderskie. Ogień patrzył na nie i może się gniewał. — Naumyślnie błyszczał tak gorąco i strzelał po kątach, a odgrażał się że pobudzi, że oskarży.

Bały się go trochę, i tęskno im było samym, lecz za chwilę Dzierła powróciła miała... Spoglądały na drzwi — oczekiwanie bardzo się im długim wydawało.

Za dworem, na dworze... już słyhać było jakby lekkie stąpanie i rozeznawały nie kroki jednej starej, ale jakby ludzi kilku... Strach je ogarnął, rumieńce wytrysły na twarz, uściśnięły się mocno. Spoglądały ukradkiem na drzwi...

Otóż uchylily się one..., na progu pokazała się Dzierła zaglądnąca niespokojnie, naprzód na prządkę uspioną... Za nią... ktoś się cisnął i popychał...

Dziewczęta wstały spłoszone z miejsca które zajmowały i zbiegły trzymając się za ręce do kątku, tam stanęły znowu się objawszy, czując się silniejszymi gdy były razem. W oczach ich radość błyskała, ciekawość i strach razem.

Tymczasem Dzierła z radością złego ducha który spełnia psotę, wwiódła do izby za sobą — dwu Niemców, Geronę von Landsberg i Hans'a von Lambach. Gero szedł już zdrów, wyprostowany, odmłodzony spoczynkiem, w całym blasku wesołych swych lat dwudziestu... szukając dziewcząt oczyma, Hans podpierał się na lasce, nie mogąc jeszcze o swej mocy iść, był błądy i wymizerowany. W nim młodość na chwilę zwiędła nabrała od cierpienia tego szczególnego wdzięku, jaki jej ono nadaje. Coś tęsknego niósł na twarzy, jakby wspomnienie domu, rodziny, matki... a chociaż mu wzrok połyskiwał ciekawością, zamglony był bolem, który się starał ukrywać.

Idąca przed niemi Dzierła, ciągle zwracając się ku nim, palce trzymała na ustach, zalecając milczenie.

Niemcy zatrzymali się nieco wśród izby, bo właśnie w tej chwili płomień od ognia, jak w znowiu ze starą Dzierłą, ku górze się wspięło i rzuciło cały swój blask złocisty na dwoje Halek w kątku.

Obrazek tych ślicznych dzieci zachwycił wchodzących, tak że dalej postąpić nie śmieli.

Z obawą patrzyły Halki na nich, ze zdumieniem spoglądali dwaj młodzi rycerze na to zjawisko.

Halki miały przed sobą nareście tych ludzi obcych, których tak widzieć pragnęły..., i znalazły ich dziwnie podobnymi do jakichś snów własnych, do marzeń dziecińczych. Wydali się im czymś daleko wdzięczniejszym niż pospoliccy parobkowie, których widywały zwykle, czymś szlachetniejszym...

Mieli coś pańskiego w sobie. Przewrotność, zajadłość, nielitość niemiecka o której ojciec mówił tak często — nie godziła się z ich powierzchownością spokojną i pięknnością obu.

Jeden pociągał weselem, którym cała jego twarz była oświetlona, drugi smutkiem łagodnym, cierpliwym, męzkim. Halki napatrzeć się ich nie mogły...

Gero witał je ukłonem i ruchem rąk, które do piersi przykładał, Hans lekkim skłonieniem głowy i tęsknem wejrzeniem...

Dzierła która zapewne bliższą znajomość między dwoma temi parami zawiązać pragnęła, wzięła na siebie obowiązek marszałkowania. Starła fartuchem miejsce na ławie, niedaleko od dziewcząt i kazała na niem usiąść przybyłym. — Dziewczętom także przysiąść znak dała... Sama poszła po kubki i miód aby ich czemś przyjąć. Kołacz słodki przygotowany był i pokrajany — podała im napój i przekąskę, a trzeci kubek, przyniosła Halkom, które zwykle z jednego pijały, wskazując im że powinny były przyłożyć usta do niego i gości przywitać. Halki spełniły to trwożliwie, rumieniąc się, z niezgrabnością dziecięcą, która im dodawała uroczego wdzięku. Wzrok dwu Niemców nie mógł się oderwać od ślicznych dziewcząt, które po pierwszej trwodze uśmiechały się im nieśmiało, kryły twarzyczki i spoglądały na nich z pod rączek...

Rozmowa była ruchami tylko możliwą, oczyma tylko.

Stara prządka spała wprawdzie pokryta chustą, tak żeby jej była nie słyszała — lecz Niemcy za mało znali tego języka, którym mówiły dziewczęta, a one ich mowy nic wcale...

Siedzieli więc tak naprzeciw siebie — Gero z Hansem rozmawiając po cichu, Halka z Halką szepcząc sobie półsłowa... Dziwna rzecz... Niemcy rozumieć czy zgadywać się zdawali co one mówiły sobie, dziewczęta domyślały się o czem młodzi szepotali z sobą.

Przez oczy szły myśli, niekiedy tak śmiałe, że Halki wzroków wytrzymać nie mogły — że Niemcy drgali jakby się chcieli przybliżyć, pociągnięci ku dziewczętom.

Ale na najmniejszy ruch ich Halki zrywały się i pierzchnąć były gotowe, a i Dzierła stała na straży, aby młodych utrzymać w dali.

Po dość długiej chwili, dziewczęta coraz częściej zaczęły spoglądać na śpiącą, Dzierła dorozumiała się że czas było wyprowadzić gości. Nalała im jeszcze kubki, które oni wstawszy za zdrowie Halek wypili, i przyszła oznajmić, że już iść muszą.

Wskazała na uspioną w kącie prządkę, pogroziła.

Niemcy upojeni widokiem dwóch siostrzyczek wstali, choć niechętnie, Halki ruszyły się z miejsca... Gero rękę przyłożył do serca, a oczy podniósł ku niebu, Hans skłonił głowę ku ziemi, rękę zniżył do stóp i westchnął. — Dwie Halki żywo, potrząsały główkami żegnając...

Ponieważ to za długo trwało, Dzierła poczyniała Gerona za rękaw sukni ciągnąć i naglić do wyjścia. Szli więc, lecz oglądali się ponawiając żegnanie, które im oddawano...

Drzwi się w końcu zamknęły, Halki wyskoczyły z kątki w którym były ukryte. — Ręce się ich rozplotły poraz może pierwszy oddawna, stanęły rozdwojone naprzeciw siebie, mierząc się oczyma i rzuciły się sobie w objęcia.

Mówić czy nie chciały czy nie potrzebowały, lecz ujawszy się za ręce poszły ku ognisku, zanuciwszy jak jednym głosem piosnkę tęskną o księżycu...

Lecz pieśń się prędko rozplynęła w uśmiech i szepty...

— Który? — spytała starsza.

— Który? — powtórzyła druga.

Zarumieniły się mocno, nie chciała powiedzieć żadna — a, rzecz osobliwa, one co swe myśli zawsze tak dobrze zgadywały, teraz nie były pewne czy są w zgodzie...

I pozostało tajemnicą może która z nich wybrała wesołego Gerona, a która smutnego Hansa...; czy się różniły czy godziły...?

Wkrótce potem promieniejąca wróciła Dzierła, spojrzła na dziewczęta, posła białą chustę czarodziejską zdjąć z twarzy prządkę, która się nie przebudziła — tylko zamruczała coś przez sen, i przybiegła do Halek głaszcząc je po głowach.

— Chłopcy poszaleli za wami! — poczęła siadając u ognia, głowy się im pozawracały, Gero mówi że jak żyw takich nie widział piękności, że gdyby was poubierać wedle ich obyczaju, mogłybyście przy cesarzowej stać na tronie...

Cesarzowa? nie wiem co to za pani — dodała — musi to być ich królowa! Ale wy, gołąbki moje sameście królowemi być godne.

Ciekawa stara przysunęła się badając natarczywie.

— Prawda, obadwa są piękne chłopcy — ale który z nich piękniejszy, powiedzcie?

Halki pochowały oczy, aby z nich nie wyczytała... wstydziły się, nie odpowiadały.

— Gero... — mówiła stara — Gero jest jak królewicz z bajki, który na konia siadłszy na cudownego, mógłby morze przepłynąć, mieczem góry rozcinać, latać z obłokami — a Hans jest jak biedne dziecko, o które strach aby na ziemię nie padło... Jam się do Hansa więcej przywiązała, bom go pielęgnowała... Gdyby nie ja, co by już teraz było z niego? jadły by go robaki!

Mówiła sama, rażno z kubka popijając, a coraz to na dziewczęta spoglądając, które się sromały jeszcze...

— Mów o nich, mów co o nich, rozповідаj! rzekła cicho starsza...

— Cóż ja wam powiem o nich, gołąbki moje, chyba że się oni pokochali w was... Szli do swego dworku jak pijani, oglądając się ku wam i posyłając pocałunki. Dla tego wam się tak palą twarzyczki, bo całusy tu poprzylatywały!

Halki poczęły je ścierać palcami z twarzy, jakby się złąkły w istocie by przyłgnąwszy do nich nie zdradziły...

Nazajutrz Dzierła przyniosła pozdrowienia, w kilka dni znowu obiecała Niemców przyprowadzić, uspić starą prządkę dozorczynię, lecz strach znowu był wielki... a skończyło się na tem, że stara na swem postawiła i Niemcy przyszli znowu.

Gero usiadłszy bliżej na ławie, na żądanie Dzierli zaśpiewał półgłosem niemiecką pieśń, którą ona słyszała go często powtarzającego

*Du bist min, ich bin din:  
des solt du gewis sin.  
Du bist bes'lozzen  
in minem Herzen;  
verloren ist daz Sluzzelin:  
du muost immer darinne sin.*

Pieśń to była pobożna, lecz któż wie czy Gero nie zmienił jej znaczenia? Dziewczęta słuchały pilno, smutno, i płakać się im chciało, że jej nie zrozumiały. Nazajutrz Dzierła musiała im po swojemu ją tłumaczyć.

*Tyś jest moją, jam jest twój,  
Bądźże tego pewna.  
W sercu mojem tyś zamknięta,  
Klucz od niego zginął.  
Musisz już w nim zostać!*

Halki nuciły po swojemu piosenkę podobną... ale im nie brzmiała tak, jak gdy ją śpiewał Gero, a Hans mu cicho wtórował.

Tak płynęły wieczory długie jesienne na Białej Górze, a ks. Żegota widząc, że Hans się już poruszać może, przypominał, iż czasby od srogiej uwolnić go trwogi. Obu im i chciało się w świat i żal było te śliczne dziewczęta porzucać.

Gero nawet ważył się na myśl zuchwałą, aby Halki uwieść z sobą. Lecz jakże z niemi przebyć niepostrzeżonym kraj obcy i uniknąć pogoni?

Hans miał myśl inną, chciał powracać do domu, zebrać oddział rycerzy i knechtów, napaść na Białą Górę i pochwytać dziewczęta. Potem lotem błyskawicy dobić się do Saskich granic... W młodych głowach rodziły się sny niedorzeczne, w których dalej widać

nie było nad to jedno — by dziewczęta mieli w swej mocy. Hans zaprzysiął, że kochająca go matka pozwoli mu za żonę wziąć choćby obcą, byle on ją miłował. Gero nie myślał o małżeństwie nawet.

Rozmarzali się i upajali każdego wieczora więcej, a Dzierła patrząc na to, rozgrzewała się i radowała jak zziębły podróżny, gdy sobie dobrego ognia napali. I ona nie patrzyła daleko — dość było jej na tem że się to — kochało...

Nasłuchawszy się szwargotu chłopców, który niespełna rozumiała, biegła patrzeć na dziewczęta jak się one ciekawiły, dopytywały, jak tęskniły za chłopcami.

O starym Mszczuju nikt tu nie myślał oprócz podżupana, który Boga prosił, aby rychlej nie powrócił aż niemców się pozbędzie z zamku i wykurzy te miejsca, w których po nich mogło coś pozostać, bo był pewien, że Waligóra uczuł by w powietrzu którem oddychali, niemców przytomność.

Jesień była już późna, jednego wieczora Dzierła wprowadziła znów Gerona i Hansa do izby, na sen dawszy starej prądce. Każdego dnia bliżej siadając na ławie przy dziewczętach, Gero i Hans skończyli na tem, że tuż się przy nich mieścili po stronach obu, i chwyтали je za tych rączek dwoje, które były wolne, wyrwały im się, drżały, a czasem króciuchno dawały przytrzymać...

Dzierła stała blisko, służąc za tłumacza niepocziwego, bo im mówiła co chciała, aby miłość dziecięcą rozżarzyć...

Gero powtarzał piosenkę swoją.

— Tyś jest moja, jam jest twój.

Gdy, wśród ciszy wielkiej, ciszy nocnej, coś jak wicher zaszumiło na zamku...

Coś strasznego, niepojętego stało się, od czego zadrgał cały gród... Psy zerwały się wyjąc, konie zarżały w stajniach, ptacy na berłach rzucali skrzydłami niespokojnie... ludzkie głosy płaczliwe, zdziwione, przerażone słychać było od wrót. Czeladź powybiegała z komor, izb, szop i rzucanie drzwiami rozległo się po grodzie.

Dziewczęta ze strachem niezmiernym, z krzykiem skoczyły szukając schronienia, obudziła się prądka z szalonym jękiem. Dzierła ledwie czas miała Gerona i Hansa wyrzucić za drzwi a sama padła na progu...

Krzyki od bramy zbliżały się i słychać było tentent konia, który biegł aż do drzwi dworu, tu nagle wstrzymany, na cztery nogi runął i obalił się...

Nad nim stał Waligóra.

Lecz on to li był czy duch jego, widmo z drugiego świata?

Ludzie oczom nie wierzyli...

Stał w podartej odzieży, z rozczochranym włosom, z okrwawioną piersią, z poranionymi nogami bosem, wzrokiem obłąkanego, oglądając się dookoła...

Telesz który nadbiegł za nim, czeladź, parobcy, niewiasty nie śmieli przystąpić doń, oczom niewierząc by on to mógł być...

Zachwiał się Mszczuj na nogach osłabłych, potarł rękami po twarzy, i przez otwarte drzwi, zataczając się wszedł do izby.

Dwie Halki stały wylekłe w kątku, gdy go ujrzaly na progu, i krzyknawszy, pozakrywały oczy, myśląc że widmo ojca ujrzaly.

Waligóra spojrzawszy na swe ognisko, zobaczywszy białe sukienki córek, jakby zmysły odzyskał... Za nim przez drzwi otwarte cisnęli się ludzie, omdlała Dzierłę odrzuciwszy na stronę... Mszczuj wołał na dzieci...

Głos jego poznawszy dziewczęta, rzuciły się ku niemu i przybiegły zawisły mu na szyi...

Z oczów starego ciekły łzy razem i krew płynęła, ścisnął dziewczęta i łkał ze szczęścia...

One go i pytały nie śmiały dla czego wracał tak okrwawiony i odarty, on nie mówił nic.

Telesz dopiero przekonawszy się, iż pan to był z ciała i kości a nie widmo i duch jego — przystąpił z pokłonem i pytaniem, z uzaleniem i trwogą.

— Paneczku nasz, złoty sokole, co tobie? co z tobą?... Miły Boże, krew... rany... zbójcy... Halki płakały... Baby zdala stojące szeptały dziwiąc się i chciały już biedz po ziola, płachty, po wodę...

Waligóra długo nie odpowiadał nic — oko jego utkwilo gdzieś w głębi izby, i krwią zaszło, otarł je, nie zwracając od miejsca na które było zwrócone, nagle począł drzeć, po-

wstał i pędem, rozepchnąwszy tych co na drodze się znaleźli, pobiegł, rzucił się w przeciwny kąt izby... Na ławie leżała niemiecka rękawica Gerona.

Waligóra pochwycił ją jak jastrząb porywa małe ptasze, oczy mało mu z powiek nie wyskoczyły, podniósł ją do góry — i ryknął z bólu.

Wszyscy z trwogi zdrętwieli...

Stary dusząc tę rękawicę w dłoniach swych żylastych, jęczał, krzyczał, a wyrazu wśród tego wybuchu rozeznac nie było można.

Halki obie na widok rękawicy omdlały... Telesz upadł na kolana... Niewiasty widząc Mszczuja w gniewie zabijającym, wściekłym, uciekły z izby...

Z rękawicą tą w ręku Waligóra się ruszył na Telesza wprost, niósł ją podniesioną, potem rzucił mu ją na policzek z taką siłą, że krew trysnęła, wnet podniósł i znowu ryczeć począł, oglądając się... Potrzeba mu było ofiary — nogą pchnął podżupana, bo tego za mało mu było, wyszedł ze dworu w ciemności na podwórze, ale nie wiedząc co czyni jeszcze.

Telesz się za nim włókł na klęczkach, chwytając za nogi, które stary precz go odrzucał.

— Panie! panie — wołał — jam nie winien... jam nie winien!

W tem z ciemności wynurzyła się postać blada, trup czy żywy człek, z oczyma świecącymi. Był to ks. Żegota.

— Jam winien! — rzekł — ja! masz mnie! zabij!...

Waligóra krok odstąpił od niego.

— Dajcie mi ich! — krzyknął — tu! dajcie mi ich!

— Rannych śmiertelnie Niemców ja wziąłem pokryjomu na zamek — ja, dla miłości Chrystusa... ja — począł ksiądz — ubij że mnie...

Waligóra stał, trzęsąc się cały...

Telesz podnosił się z ziemi.

Odwrócił się do niego Mszczuj.

— Daj mi tu ich! daj mi ich! — zakrzyczał.

W mgnieniu oka podżupan skinąwszy na parobków poleciał.

Ks. Żegota stał jak dobrowolna ofiara, która się doprasza nieuniknionego męczeństwa. Stary nie mówił nic, nie patrzył nań, w rękach podniesionych miał rękawicę niemiecką i drżał...

Wszyscy umilkli, w dali słyhać było łomot i rzucanie się ludzi po zamku i wrzawę, pogoń i urywane krzyki.

Dwie Halki, które stara prządka otrzeźwiła, podniosły się jak ze snu straszego przebudzone i stały płacząc drżące. Czasem chyliły się słabnąc, to dźwigały w milczeniu, aż stara zmusiła je usiąść na ziemi. Siadły objąwszy się i płakały.

Na podworcę straszniejsze od krzyku, który się rozlegał niedawno, panowało milczenie. W dali tylko coś wrzało... biegali ludzie...

Waligóra stał patrząc w ciemność... w oczach latały mu płatki jasne i plamy krwawe...

Kroki słyhać się dały zdaleka, ale ociągające się, powolne, bojaźliwe. Telesz przyszedł i stanął z rękami spuszczone. Niemców nie prowadzili, nie było ich.

Strzęsiono gród cały.

— Podpalić szopy... ognia... — krzyknął Waligóra — skryli się — niech wszystko idzie na popiół, byle oni zginęli...

Mówiąc to Waligóra wpadł przez drzwi otwarte do izby, pochwycił dwie główne rozpalone i wybiegł na podwórze z niemi.

— Palić wszystko! — krzyczał zajadły — miotając żarzewie...

Telesz zdrętwiał...

Parobek bliżej stojący, posłuszny, chwycił głównię i pobiegł do najbliższej szopy, wtykając ją w dach słomiany.

Waligóra patrzył obłąkanemi oczyma... Podżupan chciał iść do ognia dla ugaszenia, pchnął go i obalił na ziemię...

— Straże u wrót, u furty, na wały, żywa żeby mi nie uszła dusza... ognia na cztery rogi.

W tem ks. Żegota padł na kolana przed nim ze złożonymi rękami.

— Panie — zlituj się!

— Niemców mi daj! — odparł przystępując stary...  
— Nie wiem gdzie są! — wyjąknął ksiądz z pokorą. — Wziąłem ich ja z miłosierdzia, nie ja wydawać ich będę na stracenie... Życie mi weź...

Głównia zatknięta w mokrą strzechę nie zatliwszy jej gasła, wtem biegiem parobek przyskoczył wołając:

— Konie porwali z szop i zbiegli...

— W pogoń! koni! — zawrzęszczał miotając się stary...

I jak stał sam naprzód się rzucił do stajni. Potłuczony Telesz pobiegł za nim, co żyło odbijało wrota, chwyciło konie i leciało z zamku na pola.

Noc była czarna — straszna... przepaścistych ciemności. W jej głębinach znikli rozproszeni na wszystkie strony jeźdźce. Na grodzie pootwieranym, pustym, zostały płaczące kobiety, dzieci, pacholeta, ci tylko co posłusznie za panem w szaloną pogoń na oślep puścić się nie mogli. Dwie Halki płacząc na ziemi usnęły...

Ks. Żegota z Dobruchem poszedł otworzyć kaplicę i pokłękł przed ołtarzem na modlitwę. Chciał aby go ztąd jak męczennika wywleczono na śmierć, której się spodziewał.

Długie godziny nocy płynęły tak, płynęły zdając się przedłużać... Pianie kogutów tylko odzywające się niekiedy mierzyło tę nieskończoną przedzę ciemności i milczenia...

Zaczęło dnieć, gdy pierwsi ludzie znużeni, konie prowadząc w rękach powracać zaczęli.

Waligóry nie było.

Dzień białiał coraz jaśniej, parobcy ściągali się ciągle, powrócił Telesz — wszyscy ścigali nadaremnie.

Mszczuj nie powracał jeden...

W kaplicy zadzwoniono na mszę. Dźwięk dzwonka tego przebudził Halki. Były nawykle być mu codzien posłuszne, wstały drżące i ująwszy się za ręce poszły do ołtarza...

Ks. Żegota odprawiał mszę ze spokojem powszednim. Dobruch mu służył. Po mszy oba klękli i odmawiali modlitwy. Halki też odejść nie chciały, bo im się zdało tu najlepiej i najbezpieczniej.

Słońce się z za grubych chmur przebiło, a starego Waligóry doczekać się nie mogli jeszcze... Z ludzi żaden nie spotkał go w pogoni. Telesz siadł na koń z małą gromadką, by szukać pana.

Było południe już, gdy stara prządka niespokojna poszła do kaplicy po dzieci. Płacząc wyciągnęła je ztamtąd gwałtem prawie, aby je nakarmić i otulić. Wiało jesiennym chłodem mroźnym.

Halki szły posłuszne, nie mówiąc słowa, nie płakały już nawet, bo łez im nie stało, oczy miały czerwone, lica blade, chwiały się jak kłosa w burzę... Mijały szopę, której wrota stały otworem, stara prządka spojrzała w nią i krzyknęła. Halki powtórzyły jej krzyk, oczy ich zwróciły się za starą...

W głębi szopy przez rozwarte wrota widać było na ciemnym tle jej, białego coś, wiszącego jak płachta u belki...

Była to stara Dzierła, która się powiesiła na pasku. Dziewczęta pozakrywawszy oczy, pobiegly skryć się do dworu, a stara krzyknęła na ludzi...

Natychmiast gromada ich napełniła szopę, uciął ktoś pasek, ale ciało już było zimne, głowa martwa wisiała na piersiach z wysadzonemi na wierzch oczyma... Na włosach wetknięte wczoraj kwiatki trzymały się jeszcze, na piersi dzwoniły sznury pereł... Dzierła nie żyła. Ludzie mruczając pospiesznie paskiem jej rozerwanym na kawałki dzielić się zaczęli... a trup w szopie pozostał...

Wieczór już był, gdy Telesz się pokazał we wrotach zamkowych, jechał zwolna na koniu, za nim na noszach z gałęzi czterech ludzi dźwigało ciało czy trupa Waligóry... Stary miał głowę krwawą i piersi poranione... nie od gałęzi i upadku, ale od ostrego miecza...

Żył jeszcze, dyszał — milczał...

Zaniesiono go na posłanie i baby przyszły obmywać i okładać rany. Halki przybiegły z płaczem do ojcowskiego łóża. Uczuł je przychodzące, bo oczy otworzył, nie rzekł nic, pierś tylko żywiej mu się poruszać zaczęła. Dał z sobą czynić co chciano.

Kto go ranił, Telesz nie wiedział, znalazł w lesie leżącego na ziemi, krwawego, bez przytomności. Koń powrócił cięty w szyję na grodzisko.

Podżupan pytał go próżno, Waligóra nie chciał albo nie mógł odpowiadać na nic...

Żelazna siła tego człowieka, miała zwalczyć znużenie, głód, rany, gniew szalony, wszystko co pojedynczo innego by zabiło. Nie wiele dbając o życie, dawał z sobą czynić jednak co chciano, posłuszny był jak dziecko, ale milczał jak niemowlę.

Oczy otwarte raz zwróciwszy na dzieci, dopóki sen go nie zmorzył, nie przestawał tak patrzeć na nie.

Lecz były to dwa te kwiatki świeże jakimi je porzucił na zamku, gdy Biskup uprowadził go ztąd z sobą? Cień chyba tych ślicznych Halek wesołych, smutny, blady, milczący...

Ks. Żegota w nieustannej trwodze oczekiwał kary — Telesz codzien zjawiał się jak po rozkazy, stawał u łoża, narzucał się panu i odchodził nic nie zyskawszy oprócz obojętnego wejrzenia. Waligóra jęczał czasem, nie mówił nigdy. Gdy Halki go pytały o co, odpowiadał im skinieniem głowy. — Nie żądał nic, nie prosił o nic, dawał się karmić jak dziecię, rzekł się własnej woli — chciał umrzeć a nie mógł.

Rany goiły się cudownie, widać było powracające siły, których użyć się wzdragał. Baby potrząsały głowami patrząc nań, a i Telesz sądził że czaszka mieczem przecięta, odjęła mu rozum i pamięć.

Wreszcie rany bliźnicę się zaczęły i nic już nie było do czynienia przy starym, a Mszczuj nie wstawał jeszcze...

Jednego dnia zrana Telesz przywłókł się wcześniej niż zwykle, stanął u łoża, Waligóra spał jeszcze. Wpatrzony w tego pana, którego nawykł był słuchać skinienia, obezwładnionego i niemego, stary podżupan, co przy nim wiek przeżył, płakać począł po cichu.

Wtem Mszczuj otworzył oczy, przetarł je, i po staremu sparszył się na rękach, usiadł... Podniósł głowę ku Teleszowi.

— Idź, — odezwał się głosem dawnym — księdza mi wywieź ztąd, precz... dać mu ziemię i dworek na Zawalach..., postawić kaplicę... Niech go nie widzę więcej — idź, żeby go tu nie było. Nie czyn mu nic — nic. Sługą Bożym był, ale nie moim... Pan Bóg obronił odemnie!

Skinął. — Telesz który z radością słuchał jakby odrodzonego pana swego, natychmiast wysunął się za drzwi.

Waligóra położył się na łożu znowu... Nadeszły Halki, popatrzał na nie... i wyciągnął ręce. Pierwszy raz przycisnął je do piersi... Im się z wielkiego szczęścia na łzy zebrało.

O przeszłość nie spytał je — o sobie nie mówił nic... Chciał zapomnieć. Życie od tego dnia zaczęło powracać do dawnego trybu.

Z Krakowa nie było wiadomości, aż do tych dni. Nazajutrz po wywiezieniu ks. Żegoty, który płacząc starą swą kaplicę, domek i Dobrucha przy niej zostającego, opuścił — zjawił się u wrót Kumkodesz z Krakowa. Telesz poszedł z obawą o nim oznajmić.

— Czego oni odemnie jeszcze chcą! — zamruczał Mszczuj, — wszakżem niespełna życie dał, a może więcej niż życie?

Wpuszczono Kumkodesza, który znowu miał twarz swą dawną wesołą, rozumną a spokojną.

— Ojciec nasz przysłał mnie do Miłości Waszej, — odezwał się, — z błogosławieństwem i za językiem... Długo o was nie mieliśmy wieści żadnej... dopiero parę dni temu zasłyszeliśmy że Pan Bóg szczęśliwie was do domu przywiódł.

— Szczęśliwie! — odparł Mszczuj, skinąwszy nań — tak, szczęśliwie. Chodźno tu! chodź. Włóż palec w tę bliźnę na czerepie; a co? schowa się?

Rozkrył piersi.

— Patrzajże, — dodał, — a i to niezgorsza pamiątka? Obie z rąk Niemców, którzy mi mój dom splugawili. A co? powróciłem szczęśliwie?

Ks. Żegotę, starego, poczciwego sługę, musiałem wygnąć precz, bom nań patrzeć nie mógł, Niemcem mi śmierdział. On mi tu ich do domu naprowadził.

— Jakich Niemców? — zapytał Kumkodesz...

Waligóra odwrócił głowę i zamilkł.

— Ojciec nasz, ma nadzieję że do nas przyjedziecie, że go znowu nawiedzicie, — dodał Kumkodesz.

— Niech tylko wojna będzie z Niemcami, przybędę — odparł Waligóra — muszę im za te dwie bliźny zapłacić...



— Nim do wojny przyjdzie, — odezwał się Kumkodesz, — tymczasem jest się komu w domu oganiać. Toż Jaksowie trzymają tak jak z Niemcami... a dla naszego ojca wrogami są. Jemuście przeciw nim potrzebni.

— Do czego? — zamruczał Waligóra. — Głowy nie mam, ręce już nie te co były. — Jam się tam nie przydał i wątpię aby kto inny się na co zdał. Znać wolą Bożą było pokarać nas tą niemczyzną, co jak robactwo obsiadła i żre nas... Nie tępiliście gdy było tego mało, dziś gdy się namnożyło — zapóźno...

Kumkodesz próbował się uśmiechać.

— E! ojcie kochany, — rzekł, — z pomocą Bożą! przy łasce pańskiej, rady im damy... a jak ręce założym i pozwolim się jeść, jużci nas zagryzą.

Tymczasem Jaksowie!

Mszczuj namarszczył się.

— Jaksowie się zbierają, radzą, spiskują, — mówił Kumkodesz. — Marek Wojewoda i Światopełk przewodzą im, na dworze u księcia trzeba kogoś coby stał i oko miał...

A nikt lepszy nad was...

Waligóra wstał z łoża...

— Bracie mój, — zawołał — powiedz Biskupowi niech mi życia resztę zostawi! Dałem go dużo nadaremnie, mało co zostało... niech dożyję na grzędzie... Zlitujcie się nademną!!

Złożył ręce błagająco.

— Jam poseł mizerny — odparł Kumkodesz. — Ojcu naszemu ani śmiem ni mogę powiedzieć nic — przeciw jego woli dla mnie świętej. Lepiejby wam pojechać samemu i powiedzieć co chcecie...

Jedźcie ze mną.

Waligóra spojrział w bok i nie powiedział nic...

Zawołał sługi i kazał gościa przyjmować...

Kumkodesz na wyraźny rozkaz gospodarza siadł za stół, i skromnie pożywał dar Boży, — a Mszczuj po izbie chodził.

Drugiego dnia kleryk w kaplicy pieśni śpiewał z Dobruchem, bo mszy nie było odprawiać komu. Nie mówił nic ale nie odjeżdżał. Wieczór spytał tylko.

— Kiedy W. Miłość raczysz do Krakowa? bo ja — sam nie pojedę, a tam mi pilno...

Mszczuj ramionami dał odpowiedź.

Trzeciego i czwartego wieczora, kleryk powtórzył toż samo pytanie. Siedzenie jego w Białej Górze, zaczynało staremu dokuczać.

— Trzebaby powracać — odezwał się piątego dnia Kumkodesz, — bo ksiądz Biskup czasem mnie do małych posług używa, to mu tam będzie tęskno za swą starą miotłą.

— Wracaj z Bogiem — odparł Waligóra.

— Sam? oczówby nie śmiał pokazać...

Naostatek jednego dnia Waligóra się zżymnął..., i gdy Kumkodesz go spytał, odparł.

— Pojadę jutro! ale wrócę natychmiast, bom tam piąte koło do wozu...

Kumkodesz chciał go w rękę pocałować...

— Miłościwy panie — zawołał, — piąte koło zapaśne, więcej znaczy jak wszystkie cztery... kiedy się stare ułamię!

I Waligóra wyjechał do Krakowa...

### III

Była to wigilia Godów (Bożego Narodzenia) — a w kościółku św. Trójcy niedawno zakonnikom kaznodziejskiej reguły oddanym, sposobiono się do niezwykłego u nas jej obchodzenia.

Dominikanie od uczniów Franciszka z Assyżu z którymi się bratali tak jak ich mistrze nigdy połączyli się w miłości dla Chrystusa, wzięli ten zwyczaj uroczystego wystawiania żłobka, szopki i cudownych narodzin Zbawiciela. Już od lat kilku co rok się to powtarzało w Krakowie przy takim ludu natłoku że go szczupła jeszcze naówczas świątynka pomieścić nie mogła.

Wieczór był mroźny, na czarnem niebie świeciły gwiazdy wyiskrzone, w kościele wi- dać było pozapalane światła gęsto gorejące... Przy bocznym ołtarzu tłoczyli się ciekawi

i pobożni. Ostawiony dokoła zielonemi gałęzmi świerków, cały on gorzał mnóstwem lampek ustawionych tak że w koło niego aureolę tworzyły. Migotały one barwami różnemi uplecionym wieńcem ognistym.

W pośrodku jakby żywe, tylko mniejsze niż żywi ludzie, widać było święte postacie, w niebieskim płaszczu klęczącą matkę najświętszą, w ciemnym, łysego Józefa spartego na kiju pielgrzymim...

W żłobku promienistym, uwinięte w białe powijaczki leżało dziecię ukoronowane... U góry nad nim klęczące w obłokach anioły wmodlone i wpatrzone w dziecię, niżej pastuszków ubogich, wołka i osiołka na klęczkach...

Zdała świeciła na niebie gwiazda, która miała królów ze Wschodu przywieść do żłobku świętego.

Wszystko to było jak żywe, a niewidzialna jakaś siła, żłobkiem zwolna jak kolebką poruszała, co w wielkie zdumienie wprawiało przytomnych.

Księża klęczący na stopniach nucili głosem łagodnym pieśń tak wesołą iż się jej serca radowały. — Czuć było w niej nowinę zbawienia przez dziecię ubogą, w żłobku na sianie złożoną, której hołd pierwszy składało co na świecie najbiedniejszym było. Spracowany wół, pogardzony osiołek, głodni i zziębli pastuszkowie.

Ten co się tak rodził na rozdrożu w Betlejemie, miał też wyzwolić ludzi, a naprzód biednych i tych co najniżej stali..., niewolnych pastuszków, istoty co z wołem i osłem w pocie czoła pracowali na pogardę. Do nich się miało odezwać pierwsze jego słowo...

I twarze patrzącego na żłobek ludu śmiały się nowinie odkupienia, choć jeszcze nie rozumiały zbawczego jej słowa. Dla ludu ze wsi był to widok nowy, ten żłobek mówiący im jaśniej i dotykalszej niż z kazalnicy rzucone słowo, które ledwie wybrani pojęli.

Cisnęli się i kłaniali wszyscy, a słuchali pilno pieśni, którą radzi byli zrozumieć. — Czuli tylko wesołość jej, odmienną od zwykłego tonu żalobnego i pokutnych śpiewów kościelnych.

Kościół też tego wieczora przedstawiał widok różny od nabożeństw codziennych, nawet twarze mnichów się śmiały, a patrząc na nich i słuchając uśmiechali się pobożni... Ten i ów poczuwał się swobodnym i dokoła żłobka rozmawiano jak w ulicy...

Niektórzy mieszczanie podśpiewywali — nie być to grzechem w dniu wesołej nowiny.

Między innemi rozczulony, ze złożonemi rękami, nędznie odziany, żarliwie się modlił Hebda, niby jeden z tych pastuchów biednych, w podartej kozuszyńce, z lichy poobwiązywaniem nogami, z obnażoną piersią wyschłą.

Modlił się a płakał, lecz z twarzy mimo łez jakąś radość widać było, a dwaj księża co klęcząc obok niego pieśń zawodzili, patrząc nań cieszyli się wielkiej pobożności nędznego człowieka.

Hebda skończywszy modlitwę zapatrzył się oniemiały we żłobek — jakby istotnie widział te narodziny dobrowolnie ubogiego, który ubogich miał zbogacić.

Wtem potrafił go ktoś, był to znajomy nam Kumkodesz, który także przyszedł się pomodlić i podziwować z prostotą dziecięcą. I jemu śmiały się lica. — Miał on chwile takie w życiu, gdy rozum swój i naukę gdzieś rzucił jak węzółki niepotrzebne, a stał się prościuchnym człowiekiem, który tylko czuje i używa co Bóg zesłał.

Zobaczywszy Kumkodesza, i poznawszy go Hebda chciał mu ustąpić, kleryk nie pozwolił na to, kłękł przy nim za pan brat, czując że tego dnia i w tem miejscu wszyscy byli równi.

A byliby oba w tej kontemplacji świętego żłobka pozostali, gdyby w kościele nie stał się szmer i lud nie zaczął się rozstępować, bo go urzędnicy z laskami w rękę, w kozuchach z kun i soboli, z łańcuchami na szyi, na stronę rozsuwali.

W głębi ukazał się znany ludowi książe Białowłosey ze swą twarzą piękną, zamyśloną i łagodną. Szła z nim żona, za nim dwór, kapelani, komornicy, służba, wszyscy od święta strojni i bogato poodziewani. A jak na dworze mięszały się narodowości, tak tu w sukniach widać było i przyborach największą różnorodność.

Cudzoziemcy i swoi sztydziłi zawsze z tego że u nas strój był z całego świata pożyczany i przybierany, a nie mogło inaczej być i odzież ta tak różna wielkie miała znaczenie.

Tak samo jak ona, ze Wschodu i Zachodu płynęły do nas myśli, obyczaj, życie, a u nas się zlewały w całość która je łączyła i jednoczyła. Żadnemu z tych wpływów nie ulegaliśmy

wyłącznie, a karmiliśmy się wszystkimi, jak pszczoły które z kwiatów miód zbierają. I gdyby nie napaści i nie wojny a zniszczenia, które połowę narodu na siodłach z mieczem w dłoni wciąż trzymały — miód ten nasz byłby obfitszy i słodszy...

W orszaku Leszkowym niemieckiej zbroi i sukni dużo było, między kapelanami niejedna twarz zdradzała południowe pochodzenie; — dużo też swoich dla oka się po niemiecku zbroiło i przystrajało. Obok tych szło sporo Rusinów, ze wschodnio greckimi sukniami i pasami, wysokie kołpaki niosąc w rękę. Niektórzy ze staroświecka po prostu ale bogato byli przybrani, inni na pół ruskie, pół niemieckie mieli na sobie płaszcze i kaftany.

Książę ze swą panią szli do oświetlonego ołtarza i tam gdzie przed chwilą klęczeli Hebda i Kumkodesz, pokłękli, a książę i klerycy wesołemi głosy, na dany znak zanucili.

*Lux est orta gentibus  
In umbra sedentibus  
Et mortis caligine!  
Gaudet miser populus  
Quia mundo parvulus  
Nascitur ex virgine.  
Ut ascendat homo-reus  
Condescendit Homo-Deus etc...<sup>1</sup>.*

Żwawiej poruszyła się żłobek-kołyska..., żywiej błysnęły światła, siny obłoczek kadzidel rozszedł się w powietrzu, a pieśń której wszyscy wtórowali, w ulicę wybiegła rozgrzać serca tym co stali u drzwi kościółka, czekając kolei, aby się też nowonarodzonemu mogli pokłonić.

Leszek modlił się zapatrzony na żłobek i dziecinę, lecz mimo dnia wesela tego i mimo pieśni radośnych, na twarzy jego widzieli wszyscy z poza obłoku kadzidel, chmurkę smutku jakiegoś.

Książę Krakowski, starszy między Piastami, panujący spokojnie, żyjący szczęśliwie, którego Bóg córeczką i synkiem pobłogosławił — którego kochali wszyscy, który sprawiedliwości wzorem ojca był pilnym szafarzem, — w tym dniu nie czuł się szczęśliwym.

Jakieś przeczucie kołatało do serca jego i mówiło mu. — Nie dożyjesz drugiego dnia takiego, pieśni tej nie posłyszysz już więcej.

Książę odpędzał myśl natrętą, cisnęła mu się naprzykrzona, i ciężyla na skroni jak wieniec męczeński.

Księżna też patrzała jakby strwożona i smutna — na ołtarz i na sposępniałą twarz mężowską.

A mnisi wesołą pieśń coraz głośnieją nucili.

Hebda i Kumkodesz, dla których w małym kościółku nie było miejsca, wyszli w ulicę.

Znali się oni z sobą dobrze.

Hebda był wszak w opiece biskupa Iwona, a Kumkodesz sługą jego. Często bardzo kleryk odziewał ubogiego, karmił go i strofował, Hebda nawykł szanować go, a był z nim poufalej niż z innemi.

Gdy się znaleźli w ulicy, żebrak pochwycił połę szaty kleryka i pocałował ją z pokorą.

— Patrzajże! znowu mi ty marznąć będziesz! — zawołał Kumkodesz — opończy już nie masz, chodaki nowe pewnie chyba przepił! Niepoprawny ty jakiś!

— Ojczulku — odezwał się Hebda — opończę mi ta baba zdarła co to wiecie, w głowie jej się pomięszalo. Drżała z mrozu... Mnie ciepło... Chodaki dałem Łabie, bo miał nogi bose... Hebdzie gorąco.

To mówiąc sparł się na kiju i poskoczył, nogami uderzając jedną o drugą. Wśród tej wesołości jakby mu co na myśl przyszło — przystąpił do Kumkodesza szepcząc mu.

— Panaście widzieli? Błady jest i chmurny... czuje on to, co ja...

— A tyż co czujesz? — spytał Kumkodesz.

<sup>1</sup>*Lux est orta gentibus (...) Condescendit Homo-Deus — Sequent. In nativitate Dei* [red. WL: sekwencja o Bożym Narodzeniu autorstwa Adama ze Św. Wiktora (zm. 1192)]. [przypis autorski]

— Ile razy spojrzę nań, czy jedzie miastem, drogą, czy się modli w kościele... widzę zabójców koło niego, miecz nad głową i pana nagiego w ranach...

Kumkodesz potrącił go gniewnie.

— Jak ta baba co ci opończę wzięła szalony jesteś! — krzyknął.

Hebda głową rzucił.

— Com winien kiedy jedno widzę wciąż czy słońce świeci, czy noc... byłem pana zobaczył — wnet mi się przewraca w nagiego i porąbanego — odparł Hebda.

Żegnam się i odpędzam marę — to cóż? myślicie że ustępuje?

Nie — krzyż ją przetnie na dwoje, na czworo, a kawałki stoją przed oczyma!

— Dzięki Bogu, panu naszemu nic nie grozi! — począł Kumkodesz — myśl ty ino o sobie.

I chciał iść, aby się od żebraka odczepić, ale Hebda kroczył za nim.

— Prosiłem ja świętego ojca naszego — mówił ścigając go ciągle Hebda — aby mnie przeżegnał, i mary odegnał. Nic nie pomaga! Com winien, że mi takie oczy dano za karę, które widzą czego niema na świecie i daj Boże by nie było. Chodzi żywy człek, to ja go widzę trupem, śmieje się baba, mnie się zda jakby płakała, wraca wesele, u mnie w oczach pogrzeb... niosą do chrztu dziecko, wydaje mi się że zbójca jedzie...

Kumkodesz się rozśmiał.

— Toć ci ojciec nasz zawsze mówi, módl się — rzekł — zbywając się natręta.

— Jak mogę to się modle! — westchnął Hebda — i wysuwając z podartego rękawa dyscyplinę pokazał ją klerykowi. I modłę się i biję się do krwi. Myślicie że boli? Gdzie tam... jakby mnie kto głaskał. Taką mam psią naturę i już z nią zdechnę.

— Nie zdychaj a staraj się umrzeć po chrześcijańsku — odparł Kumkodesz.

— Umrzeć to nic, ojczaszku — umrzeć ja potrafię, ale żyć to sztuka! Szatani chodzą koło mnie! Co ja ich widzę! w ulicy, w kątach, po domach, na drzewach. Jeden na kominie siedzi jak na koniu, drugi na ożogu jedzie, inny wojewodę pod rękę prowadzi...

Zamilkł nagle, bo Kumkodesz na wspomnienie szatana, żegnać się zaczął.

Wlókł się jednak za nim aż do wrót biskupiego dworca.

— Ojczaszku — rzekł — gdy się ku nim zbliżyli — prośbeczkę mam do ciebie!

Kleryk się odwrócił.

— Jałmużna rozdana, kłapcia już u nas nie ma! — odparł...

— Nie chcę ja nic — zawołał Hebda — całując róg jego sukni, tylko żebyście świętemu biskupowi powiedzieli, że szalony Hebda pana naszego wciąż widzi nagim, a miecz nad głową jego!!...

Kumkodesz machnął ręką i wszedł na podwórze drzwi zatraskując za sobą. Hebda postać chwilę, uderzył się silnie kilka razy w piersi kulakiem, i zamyślony pozostał na mrozie w ulicy.

W chwilę potem orszak książęcy ciągnął nazad na zamek na ucztę wieczorną, którą po całodniowym poście zastawiano.

Hebda stojący zdala zobaczył go, krzyknął i dłońmi obiema zakrył sobie oczy, jakby widoku tego znieść nie mógł.

A Leszek jechał spokojny, za czeladzią niosącą pochodnie, i dwór jego wesoło gwarzył, rozradowany pieśniami kościelnymi. Otworły się wnet i wrota dworca, z których wyjechał biskup Iwo na zamek, bo tam nań z wieczszą czekano.

W mieście, które dnia tego świeciło wszystkimi oknami jakby się w nim ludzie, północy czekając spać nie kładli, rozległ się tentent, jezdnych kilku pędem wielkim do zamku spieszyło.

Jeden z nich głowę miał przewiazaną chustą białą i rękę obwinętą płachtami, na towarzyszach jego widać było rany i zbroje potłuczone.

Hebda spojrział gdy przeciągali i znowu zakrył oczy...

We wrotach zamkowych zniknęli.

Leszek już był we dworcu swym, a biskup stawał w przedsieni, gdy gromadka jezdnych tuż nadbiegła. Spojrział Iwo na nich, i jęk wyrwał mu się z piersi. Nie trzeba było pytać nawet o nowinę jaką nieśli.

— Beno! tyżeś to! — odezwał się biskup strwożony, zwracając się do niemłodego człowieka z głową i ręką obwiązaną.

Ludzie pomagali mu zsiadać z konia — jęknął za całą odpowiedź. Potem przywłókł się do biskupa i po rękach zaczął całować.

— Beno! zbójcy cię napadli w drodze? co z tobą? — odezwał się biskup.

— A! westchnął przybyły, spierając się na ramieniu sługi, zbójcy ale nie na drodze napadli nie mnie, tylko zamek, którego byłem stróżem postanowiony. Biada mnie! biada nam! Światopełk opanował Nakło.

Biskup słysząc to, cofnął się na krok i twarz jego oblokła się bolesciwym wyrazem.

— Światopełk więc wypowiedział nam wojnę! — zawołał.

— Ani ją wypowiadał, ani się jej kto mógł spodziewać — rzekł jękliwie kasztelan. — W pokoju z nim byliśmy, któż się napadu mógł spodzierać? Garść nas w Nakle siedziała. Nagle, nocą, oskoczył nas z siłą wielką, nimeśmy się na obronę zebrali, wyrąbano brammy... W podwórzach przyszło nam ucierać się z niemi, broniliśmy się do ostatka, jeden przeciwko dziesięciu — i ot, ilu nas uszło z życiem.

Kasztelan westchnął.

— Synowie moi! — zawołał i nie dokończył.

Rozmowa głośna w przedsieni, którą na dworcu słychać było, wywoływać zaczęła ciekawych. Wyszedł za niemi z wesołą twarzą Leszek, właśnie gdy kasztelan opowiadał o wzięciu Nakła — posłyszał i załamał ręce. Stał za biskupem, nie widziany przez niego. Z ust mu się nie wyrwał nawet jęk, tylko głowę spuścił na piersi i ujął zwolna rękę Iwona, który się ku niemu obrócił. Odgadł przy sobie Leszka.

— Panie — odezwał się poważnie — ludzi nam żal, krwi chrześcijańskiej rozlanej, lecz — Bóg wie co czyni! Imię jego niech będzie błogosławione! Dobrze się stało co on zrządził. Lepiej jest mieć jawnego nieprzyjaciela, niż druhów fałszywych. Odkrył się i obnażył Światopełk czem jest!

To mówiąc biskup za księciem począł iść do dworca, rękę wyciągnąwszy ku kasztelanowi kroczącemu za nim...

W wielkiej izbie oświeconej pochodniami, które pacholeta trzymały, stół właśnie był zastawiony do wieczerzy, białym obrusem okryty. Stała już księżna z niewiastami swojemi, czekając na pasterza i pana, w głębi urzędnicy i dwór...

Na widok Benona z głową krwawą chustą obwiązaną, okrzyk zdziwienia i przestachu przebiegł cały ten orszak, który się weselić gotował.

Leszek blady szedł ku miejscu swemu, ze zwieszoną głową i zajął je, biskupowi wskazując siedzenie przy sobie. Iwo Benona zmusił też zabrać ławę, od której mu się krakowski kasztelan odsunął... Cisza panowała długa... Iwo skinął i kapelan książeccy rozpoczął odmawiać błogosławieństwo.

Słuchali go wszyscy stojąc...

— Ojciec mój — przerwał milczenie Leszek — chciał nas P. Bóg dotknąć właśnie w ten dzień gdyśmy się radości spodziewali.

Ten co przyniósł pokój ziemi, mnie dziś przyniósł zapowiedzią wojny...

— Mylisz się synu mój! — mylisz się — począł biskup spokojnie. — Chrystus nie przyniósł nam pokoju, bo go nie ma na ziemi. Czytamy u Mateusza ewangelisty słowa jego. Nie sądzicie abym przyniósł pokój na ziemię, nie przyszedłem niosąc pokoju ale miecz; przyszedłem rozdzielić z sobą syna i ojca, córkę od matki<sup>2</sup>. Życie całe walką być musi...

Leszek słuchając — westchnął...

— Tak, — dodał — jest to jawne wypowiedzenie posłuszeństwa... Nie pozostaje nam nic, tylko całemi siłami uderzyć na krnąbrnego sługę.

— Głosił to dawno Światopełk — odezwał się biskup — że mu się Nakło do Pomorza jego należało, że zostało oderwane od niego.

— Krzywousty je po trzykroć zdobywał i okupił krwią swoją — odparł Leszek — należało odtąd do nas i stało na straży granicy — a jak Krzywousty ja muszę je raz jeszcze odzyskać.

<sup>2</sup> Nie sądzicie abym przyniósł pokój na ziemię (...) przyszedłem rozdzielić z sobą syna i ojca, córkę od matki — Mt 10, 34–35. [przypis autorski]

— Trudno się już mamieć tem — jęknął Beno — żeby Światopełk je zdał dobrowolnie, lub żeby on kiedy do podległości się poczuł i daninę dał, dopóki mu się na kark nogą nie stąpi. Śmiały jest, zuchwały i silny...

— Sprostamy mu! — zawołał Leszek — w którym na chwilę krew dawnych Bolesławów się ozwała. Pójdziemy nań z bratem, pomogą mi Ślężcy, obejdziemy się wreszcie i sami.

— Nie łączo — rzekł Beno — na jednego Światopełka stałoby nas, choćby i z Odoniczem razem — lecz kto go zna, wie, że gdy poczuje niebezpieczeństwo, krzyknie na pogan pruskich, na wszelaką dzicz niechrzczoną z którą sąsiaduje i zna się.

— Pogan by na kraj chrześcijański śmiał prowadzić — odezwał się biskup — o zgrozo! kościół go wyklnie i potępi!

— Nie wiem czy on za przykładem innych książąt na anathema zważać będzie — zamruczał Beno. Niechby go kara Boża dościgała, bo póki żyw, my od niego spokoju mieć nie będziemy.

W takich smutnych rozmowach upłynęła wieczerza, którą gorzko było pożywać wszystkim, i niemal noc cała upłynęła na radach co poczynać...

Leszek skory do wojny z początku, już wprędce odezwał się, iż należało wszystkich używać środków, aby Światopełka pokonać grozą samą.

Gdy w zamku na Wawelu smutna ta wieść strwożyła i niepokoiła wszystkich, we dworze Marka wojewody, do którego wiadomość o wzięciu Nakła doszła kilką godzinami wprzód, panowała źle ukrywana radość.

Wojewoda, Jaszko i kilku zaufanych, napawali się powieścią przyniesioną przez tajemnego posłańca. Marek nazajutrz miał być na zamku.

Nie dając znać po sobie, iż już był zawiadomiony, po nabożeństwie kościelnym, stary Jaksza udał się za Leszkiem do dworca. Na drodze urzędnicy oznajmili mu o przybyciu Benona.

Przyszędł więc przed księcia z ubolewaniem krzykliwym, głośnym, tem gwałtowniejszem, że było udanem. Zrywał się jakoby zaraz na Światopełka chcąc iść, wyrzekając się w nim krwi swojej.

— Siłę mamy, miłościwy panie — wołał, stojąc przed Leszkiem — skiniecie tylko a pójdziemy wnet z księciem Konradem razem i zgniemy go.

Słuszna jest byście mu odebrali rządy Pomorza waszego...

Leszek już był z wojennego zapału ostygł, i inne miał myśli.

— Przysłało nam, — rzekł łagodnie — mając siłę, mieć pomiarkowanie. Damy czas Światopełkowi do ukorzenia się, do namysłu...

Wojewoda swą wierność i gorliwość w sprawie pana chcąc okazać, tem mocniej za wojną natychmiastową obstawał. Według niego zimową porą odzyskanie Nakła było łatwiejszem, nie potrzeba było dać się w niem nieprzyjacielowi umocnić i zabezpieczyć.

Inni mu też z rycerstwa potakiwali, a biskup Iwo słuchał i milczał.

Nie upłynął ten dzień bez nowych posłańców i wiadomości. Z Płocka od księcia Konrada przybył jeden z jego przybocznych z oznajmieniem o wzięciu Nakła i radą braterską. Konrad poufnie Leszkowi tę myśl właśnie dawał, którą on sam już miał wprzód. Donosząc o stracie, kazał razem dać do zrozumienia, iż do powetowania jej ciężko by mu teraz było czynnie się przyłożyć. Życzył więc ks. Konrad zwołać wielki zjazd wszystkich książąt, aby na nim razem ze Światopełkiem spór i wojna Odonicza z Laskonogim ugodą przez wszystkich ułożoną i poręczoną, zakończone zostały...

Leszek nie czego innego pragnął. Biskup Iwo który przytomnym był, przyzwał także.

— Zwołajmy zjazd — rzekł — lecz nie dosyć na nim władców świeckich, zjedziemy wszyscy my z ojcem naszym gnieźnieńskim na czele, zwołamy przedniejsze rycerstwo ziem wszystkich — uczynimy pokój zaprzysiężony na długo...

Wojewoda Marek który się jeszcze na zamku znajdował, niby przeciwnym się okazał zjazdowi, a w istocie tak mówiąc iż go popierał.

Nie było to rzeczą łatwą, jednak i prędkiego wykonania, zwołać książąt, sprosić biskupów, ściągnąć rycerstwo i starszyznę ziemian. Długiego czasu wymagało doprowadzenie myśli do skutku, obesłanie dworów i dworców, postanowienie dnia, wybór miejsca.

Wszystko to musiano odłożyć do późniejszego porozumienia się. Trzeba było dla uzyskania zgody rozsyłać na wszystkie strony, do Gniezna, Wrocławia, Poznania, Płocka, do Światopelka nawet aby i tego zmusić przez duchownych, do stawienia się na zjazd ów wielki.

Z pewnych względów dogadzało to Leszkowi, dając mu najmniej kilka miesięcy czasu do rozważenia a w istocie do spoczynku. Nie potrzebował wydawać wojny, mógł się bawić nadzieją uspokojenia.

Nie żeby mu na męztwie zbywało, gdyż rycerzem był jako drudzy nieuleknionym, ale bez tej miłości wojny jaką miał Krzywousty. Jak ojciec przekładał on życie ciche, domowe i owe ulubione wiece sądowe, które rad często zwoływał, pilnując wymiaru sprawiedliwości. Nigdy on szczęśliwszym nie był jak gdy pod Śreniawą „*u murowanego mostu*”<sup>3</sup> lub w Rozgrochu przy rycerstwie swem, w polu, u dębu, pod lipą, zawile sprawy sądził, i pokrzywdzonych brał stronę.

Myśl więc zjazdu podobnego temu, jaki niegdyś ojciec jego zwołał do Łęczycy, uśmiechała mu się... Powaga książąt, głos biskupów musiał złamać upór zuchwały wybijającego się na niepodległość wielkorządcy co się już księciem mianował. Zarazem wojna stryja z bratankiem, nowym podziałem mogła być skończoną...

Na wszystkie strony wyprawiono posłów i listy, a biskup Iwo nie mniej od samego księcia był czynny, on miał wezwać braci swych i skłonić gnieźnieńskiego pasterza.

Znowu więc Mszczuj, którego mimowoli jego, starał się zatrzymać przy sobie, był mu potrzebnym. Jemu jednemu zawierzyć mógł, iż wiernie zanieśnie co mu zdanem zostanie... Stary, który siedział tu niepokojąc się o dzieci, wyrrywając ciągle, nakoniec otrzymał przyzwolenie Iwona, który ściskając go, rzekł mu:

— Jedź do dzieci, pociesz się niemi, pobłogosław je, powierz dobrej pieczy, lecz powracaj do mnie, abys mi był pomocą. Miejsce twoje u boku Leszka, z dniem każdym więcej lękam się Jaksów i wojewody...

#### IV

Mszczuj ruszył do dnia z Krakowa, z tego Krakowa, którego teraz znieść nie mógł, bo był w nim więzieniem mimo woli. Serce ciągnęło go do cichej Białej Góry, a tu codzienne widoki krew w nim burzyły.

W mieście zaledwie wyszedłszy za bramę spotykał jaki tabor kupiecki Niemców ciągnących z kupią od Kolonii, Akwizgranu, Lubeki..., odwracał oczy i z drugiej strony dochodziły go głosy już osiedlonych tu Szwabów Franków i Sasów, którzy jak w domu gospodarzyli pod boki księcia.

Nietylko cierpiano ich tu, ale im wygadzano i ustępowano, a polski obyczaj i prawo wcale ich nie obchodziło.

Na dworze połowa pewnie była Niemców, którzy w sprawach rycerskich przewodzili, nauczali i to co sami z Francji wzięli przedawali za swoje.

Pomiędzy duchownymi nie mniej ich było. Biskup Iwo potrzebował ich jako nauczycieli, jako przewodników, za co mu lekceważeniem i obojętnością na potrzeby domowe się wywdzięczali. Z miejscowemi obchodzili się niemal z pogardą, bo tu im wszystko barbarzyńskiem się zdawało. Duchowieństwo swojskie musiało ustępować przed niemi. Wprawdzie Biskup Iwo pilno czuwał aby własnych sobie wyuczyć księży, którzyby zrozumiałym apostołować mogli językiem — lecz ludzie powoli rosłą...

Mszczuj więc tu, niemal tak jak we Wrocławiu musiał się zżymać i burzyć w sobie, nie mogąc nawet ze swą niechęcią objawić.

Biskup karciał ją jako grzeszną i niechrześcijańską — dla niego wszyscy w Chrystusie byli braćmi, i jeden Kościół wielką spójnią narodów wszelkich na ziemi.

Życie staremu zdawało się nieznośnem, gorzkim, a tęsknota za domem coraz mocniej dojmowała...

Czasem gdy dotknął ręką głowy rozciętej, piersi na której została blizna, gdy przypomniał ową noc straszną powrotu do Białej Góry, serce żęgła mu chęć zemsty niezmierna.

<sup>3</sup>*u murowanego mostu* — *ad lapideum pontem*, 1222. Most murowany w r. 1222, ma swe znaczenie. [przypis autorski]

Gdyby był mógł, gdyby wiedział gdzie miał szukać tych dwu zbiegów, na których napadłszy w lesie, owe dwie rany, co go obaliły, otrzymał!!

Ci Niemcy śmieli wkraść mu się do izby dziewcząt jego, i wzrokiem swym, tchnieniem swoim — skazić te dwa czyste jego gołąbki...

Żał mu było i starego ks. Żegoty z którym rozstać się musiał, nadewszystko dawnego życia na Białej Górze w tem zapomnieniu o całym świecie i — o Niemcach!

Mszczuj nie spoczywał prawie w drodze, im bliżej był granic swych, tem zdało mu się że koń zwalniał biegu...

Stanął już późnym wieczorem u wrót i ostrokołu, przy strażniczej chacie... Głosem dobrze znanym staremu wrotnemu zakrzyczał nań, raz, drugi napróżno. W oknie chałupy się nie świeciło, pacholek poszedłszy do niej stukać, nie dobił się nikogo — była pustą...

— Chyba zmarł! — krzyknął Waligóra...

Wrota otworem stały.

Tem niecierpliwiej do zamku popędził...

Gdy w róg uderzył przybiegłszy do bramy..., postrzegł dopiero że i ta była niezamkniętą. Ludzi kilku co stali przy niej, zobaczywszy go pierzchnęli.

Działo się to czego zrozumieć nie mógł. Biała Góra jego stała jakby opustoszona, ludzie jak bez zwierzchnika i głowy...

Wjechawszy w dziedzińce nie postrzegł ognia nigdzie, postacie jakieś strwożone ukazywały mu się zdala i pierzchały kryjąc się po kątach...

Na odgłos jego rogu Telesz nie nadbiegł...

U drzwi dworca skoczywszy z konia znalazł wielką izbę pustą, otworem, ognisko zagasłe... — jak gdyby ludzie wymarli.

Dzieci! gdzie były jego dzieci! Waligóra po ciemku rzucił się drzwi do komór wylamując i wołając głosem wielkim...

Nikt nie przychodził, nie pokazywał się nikt, nie słyszał...

Włosy przerażonemu powstały na głowie, a że mu głosu zabrakło, pochwycił róg i dąć zaczął ze sił wszystkich.

Trąbienie jak grom rozległo się po izbach, po podwórzu... Nikt nie przychodził.

Ludzie którzy ze Mszczujem przybyli rozbiegli się, wylękli jak on szukać kogoś z domowych. Na widok ich zdala uchodzili wszyscy... nikogo pochwycić nie mogli.

Jeden z czeladzi postrzegł słabe światelko przez otwarte drzwi kaplicy. U ołtarza na kolanach zgięty modlił się Dobruch. Porwali go i pociągnęli bezwładnego przed pana, który stał róg trzymając w ręku, oparty o drzwi, oszalały.

Pachole mu przyświecało pochwyconą gdzieś drzazgą... Gdy starego Dobrucha, który krzyżyk trzymał w ręku, przywleczono przed pana, postradał mowę ze strachu.

Mszczuj napróżno wołał ręce łamiąc. — Gdzie dzieci moje? — Dobruch płakał i nie odpowiadał.

Dzieci nie było!! Stara prządka znikła także — Telesz się nie pokazywał — czeladzi reszta z trwogi kryła się po szopach, wyżkach i dołach...

Co się tu stało Mszczuj nie mógł nawet myślał zgadywać, wiedział tylko że jego dzieci, jedynych tych co go na ziemi trzymały — nie było.

Widząc pana pół trupem już z trwogi i gniewu, ludzie co z nim jechali, rozbiegli się wszyscy szukać kogoś coby o nieszczęściu opowiedział... Był może jaki ratunek...

Dobruch tymczasem ochłonawszy, jęczeć zaczął i przysunął się do starego...

— Telesz popędził za niemi — rzekł, — dwa dni temu — i nie wrócił...

— Za kim? — Mszczuj nie mógł spytać, język mu przysechł do ust spalonych.

Wleczono starego parobka, który wyrывał się krzycząc, sądząc że go wiodą na stracenie.

Padł błagając o życie u nóg Waligóry, zaklinając się że był niewinnym... Rwało mu się opowiadanie bezładne.

— Panie, ojczu, my wszyscy niewinni. Kto ich wie, jak, któredy Niemcy się nocą wkradli na gród... Wrota stały zamknięte, straż u nich... Porwali dziewczęta i unieśli je z sobą, unieśli... Przyszli i wyszli tak cicho że dopiero nazajutrz postrzegły baby że naszego skarbu zabrakło.

Telesz ze wszystkimi ludźmi i końmi od dwóch dni w pogoni...



Mszczuj słuchał, nie dając znaku po sobie — czy zrozumiał opowiadanie jękiem przerywane — gdy parobek dokończył, zachwiał się i padł jak długi na ziemię.

Piorunby nie raził silnie... Czeladź pobiegła po wodę, ludzie wzięli na ramiona i zanieśli do izby. Zapalono ogień, poczęły się zwlekać baby.

Stary oblany wodą, otworzył oczy wkrótce, ale usta ścięte rozewrzeć się nie mogły. Leżał tak w osłupieniu niemem, żywy a umarły, — bezwładny...

Przestraszona czeladź, nie wiedząc co począć po krótkiej naradzie, na lepszych koniach puściła się do Krakowa dać znać Biskupowi.

Dobruch, stare baby, kilkoro pacholąt siadło tymczasem na straży przy chorym..., który zdało się że z bolesti wielkiej zmysły postradał...

I ten cios jeszcze nie zdołał go dobić — żył, musiał żyć.

Noc tak przeszła. — Rankiem z pogoni próżnej zaczęli powracać ludzie pieszo, lub z końmi porozbijanymi. Telesza tylko nie było.

Śladem Niemców, którzy w kilkanaście koni uchodzili z uwięzionymi dziewczętami, gonili, jak opowiadali ludzie, aż do lużyckich granic. Tam im przepadł ślad, w obcą ziemię nie śmieli iść, boby języka nie dostali, a w niewolę popaść mogli.

O Teleszu wiedzieli że przodem gnał, ale gdzie się podział, nie słyszał nikt, wpadł jak w wodę. — Mógł też istotnie z rozpaczy gdzieś skoczyć do rzeki, nie śmiejąc powracać do pana.

Niewiasty opowiadały że pojąć nie mogły jak dziewczęta porwać się dały, nie krzyknąwszy o pomoc, nie broniąc się — jakby z niemi poszły dobrowolnie. Tajemnicą to było dla wszystkich... — czarem jakimś i zadaniem...

Waligóra został na posłaniu, pojony wodą i polewką jakąś, którą mu gwałtem do ust wlewano.

Trzeciego dnia sam Biskup Iwo był na zamku. Do izby brata wszedł powoli modląc się pół głosem, stanął nad łóżem jego i odmawiał długo, aż do końca modlitwę. Oczy jego wlepione we Mszczuja, miały siłę, która go jakby ze snu się budzić zdawała... Poruszył się niespokojnie i jęknął.

— Wstań i chodź! — zawołał Iwo, wyciągając rękę ku niemu. — W imię Boże, nakazuję ci, powstań, idź. Padnij na kolana i ofiaruj Bogu boleść swą, a żyj.

Stał się cud, stary Mszczuj posłuszny dźwignął się z łoża, jęknął znowu, i przypadł do ręki brata.

— Bracie, ojcz! — zawołał ze łkaniem, — na co ty mi żyć każesz? Nie mam ja żyć dla kogo i dla czego... ostatni skarb wydarły mi wrogi moje, tak jak pierwszy...

Oni mi odebrali matkę, oni córki zabrali. Nie chcę życia...

Biskup położył mu rękę na głowie i mówił krótką modlitwę, potem schwyił dłoń jego i jak dziecię poprowadził z sobą do kaplicy.

Kazał mu uklęknąć — klękli oba.

— Ofiaruj Bogu! — powtórzył...

I modlił się z oczyma w ołtarz wlepionymi z taką siłą modlitwy, iż zdała się potęgę jakąś sprowadzać na ziemię, która starca miała odrodzić.

Pot kroplisty ciekł mu ze skroni, łzy z powiek znużonych... ale nierychło usta zaczęły się poruszać powolną modlitwą, która z nich wrywała się naprzód jakby mimowoli, potem płynęła już potokiem wielkim i błaganiem...

Biskup Iwo nie przerywał też modłów, a gdy przeżegnawszy się wstał, Mszczuj podniósł się także, i szedł zdrętwiały ale spokojny...

Dał mu spocząć mąż święty.

— Pójdiesz ze mną, — rzekł do niego. — Za słabym jesteś abyś tu mógł pozostać, boleśćby ci wróciła od tych miejsc, które ją widziały.

Bóg dał, Bóg wziął. Mógł ci je odebrać śmiercią, odjął ci je przez ręce tych, których nienawidziłeś, gdy on przebaczać kazał i miłować...

Chodź ze mną, służyć Kościołowi i Panu naszemu. — Jeśli ci życie obmierzło, znajdziesz je gdzie dać za Chrystusa i za sprawę książęcą, która jest nas wszystkich sprawą.

Ucałował go w głowę.

— Chodź zemną — dodał, — będę się modlił aby się zgoiły rany twoje — chodź zemną, abym czuwał nad tobą. Bądź moją ręką i pomocą... Idź, dziecko moje, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Waligóra podniósł się z ławy...

— Idźmy — rzekł słowem jednym.

Sam Biskup musiał przywołać pozbieraną czeladź, znaleźć ludzi którymby straż gródka powierzył. Mszczuja nie obchodziło tu nic. Szedł za bratem jak obcy, jak przykuty do niego mocą niewidomą...

Oba razem ruszyli w milczeniu z grodu. Mszczuj wyjechawszy z niego, nie obejrzał się nawet, nie chciał go widzieć już, ani żegnać. Ciągnął za bratem i całą drogę przebył w milczeniu z zaciśniętymi ustami; tylko gdy Biskup poczynał się modlić, on także szeptał coś i płakał.

Był ranek gdy przybyli do Krakowa, a Iwo wprost zajechał przed kościół św. Trójcy, u którego wrót zsiadli oba...

Stał on otwarty, przed ołtarzem wielkim odprawiała się msza święta — żałobna. Dla Mszczuja było to jakby znakiem że wszystkie powinien był pogrześć nadzieje, a żywot rozpocząć nowy — posłuszeństwa i pokuty...

Sam byłby pewnie z tęsknoty, gniewu i żalu zmarł zamęczywszy się powolnie, — brat kazał mu żyć, — był w jego mocy — rzekł sobie, — służyć muszę mu, to wola Boża!!

Z kościoła pojechali do Biskupa, Iwo szepnął słówko Kumkodeszowi, i oddał kleryka na posługę bratu. Rozpoczęło się życie nowe, jakby z dziecięciem które musiano wodzić na pasku. Olbrzym ten obezwładniony posłuszny był i dał z sobą czynić co chciano. Uznał jakby władzę powierzoną Kumkodeszowi i robił co mu tamten wskazywał. Razem zrana szli na nabożeństwo albo do kaplicy gdzie Biskup jak dzień odprawiał mszę świętą; potem kleryk radził przejażdżkę konno za miasto, przyprowadzał go do stołu, zabawiał rozmową, czytał mu coś czasem, próbował grać z nim w szachy i kości dla rozrywki, opowiadał świętych żywoty, brał go z sobą do rozdawania jałmużny.

W godzinach wolnych Iwo wzywał Mszczuja do siebie.

Stary spełniał wszystko, nie opierał się nigdy, ale woli własnej nie miał wcale, tylko gdy wypadkiem nastręczano go na spotkanie się z Niemcami. Naówczas opierał się gwałtownie, oczy zachodziły krwią, stawał jak mur, prosił w końcu, a nic go skłonić nie mogło, by się o nich otarł.

Książę Leszek zdawna był już o przygodach Mszczuja uwiadomiony, serce jego czuło boleść jaką biedny ten człowiek dźwigać musiał; przez przywiązanie do Biskupa i litość, chciał starego wziąć do siebie, na dwór. Lecz i tu Niemców było wielu, a Waligóra drżał cały gdy którego z nich zobaczył, gdy dźwięk mowy usłyszał.

Książę więc wybierał tak towarzyszy czasem, aby wśród nich oprócz swoich i Rusinów nie było nikogo, i wyciągał Mszczuja z sobą na łowy...

Parę razy próbował go pytać i badać, przemyślając nad tem czyby mu sprawiedliwości nie mógł uczynić, o uwiedzione dzieci w Niemczech kazać pytać i los im zapewnić.

Waligóra zbywał księcia pokornym milczeniem, w którym było tyle boleści, iż Leszek musiał ją poszanować. — Palca w ranę kłaść się nie godzi, kto jej uleczyć nie jest pewien. W tych wycieczkach do lasu, w których Mszczuj towarzyszył księciu, poznał bliżej syna Kazmierzowego i powoli się doń przywiązał. Leszek łatwo zyskiwał serca, bo był dobrym i łagodnym, a miłości u ludzi pragnął. Na swe czasy i położenie był tylko za słabym, a wymagał od ludzi takiej prawości jaką sam miał. Miłował nadto pokój i zgodę, zbyt dobre miał wyobrażenie o ludziach. Gdy mu od nich niebezpieczeństwa wystawiano bronił swoich nieprzyjaciół, wierzyć nie chciał ich złości, starał się dobrem tłumaczyć wszystko. Teraz nawet wzięcie gwałtowne Nakła przez Światopełka, Leszek tłumaczył i znajdował mniej występne niż w pierwszej chwili.

— Pomorzanie go obrali swoim księciem, — mówił spokojnie, — nie ma dziwu że dla pozyskania ich sobie, chciał dawniej oderwane od Pomorza Nakło, zdobyć dla nich.

Niektórzy bystrzej widzący ostrzegali go po cichu iż Konrad przeciw niemu knował i zazdrościł mu dzielnicę a panowania. Leszek mówić nawet o tem nie dawał, oburzał się — bronił Konrada, ręczył za niego.

Tak samo jak niegdyś on i matka przywiązywali się ślepo do Goworka, wierzyli Mikołajowi Wojewodzie, teraz książę ufał nieograniczenie Markowi, był pewien brata, opierał się na przymierzu z Henrykiem Brodatym.

Ta dobroduszna wiara w ludzi, daleko bystrzejszą księżnę pobudzała czasem do łez, niekiedy do gniewu. Widziała w tej dobroci niebezpieczeństwo i lękała się o dzieci.

Ale i ona na mężu który ją kochał wymódl nie umiała tego co się z jego charakterem nie zgadzało. Czcząc pamięć ojca Leszek poświęcał długie cierpliwe godziny słuchaniu rozpraw sądowych, nudził się z jurystami, — z rycerstwem zabawiał w kunszta różne, w turnieje, w strzelanie, lecz gdy zagrażała wojna — bronił się od niej całą siłą. Krwi chrześcijańskiej przelewać nie chciał.

Na pogan jak na zwierza poszedłby był z ochotą — na swoich oręża podnieść nie umiał.

Biskup zmierzał do tego ażeby Mszczuja na dworze pańskim umieścić, i mieć w nim stróża przeciwko Wojewodzie, którego wpływu się obawiał.

Iwo pobożny i niechciwy także wojny, więcej jednak w panu żądał energii i siły, a Marek jakby naumyślnie utrzymywał go w usposobieniu miękkiem, potakiwał myślom, uspokajał go i rozbrajał.

Sam książę w biednym Mszczuju poczynał się coraz więcej rozmiłowywać — starzec ten tak spokojny, mimo to jeszcze na łowach dokazujący cudów zręczności i odwagi, był mu miłym, a że książę przywiązywał się łatwo, często mu Waligóry brak było.

Księżna lubiła go także... Cóż gdy na dworze prawdziwych i poprzebieranych za Niemców ludzi tylu było, iż Mszczuj tam wytrwać nie mógł.

Musiano żał jaki do nich miał poszanować a nawet lękać się go drażnić, gdyż Kumkodesz miał już dowód że wprowadzony do niecierpliwości Waligóra nie miał pomiarkowania.

W czasie jednej przejażdżki z klerikiem, spotkali przypadkiem trochę napilego do dworu należącego płatnerza, którego zoczywszy Kumkodesz, kazał mu precz z drogi ustąpić, aby się na oczy Mszczujowi nie nawinął. Niemiec ufny w swą siłę i opiekę pańską, nie dając się spędzić z gościńca, stanął i począł krzyżeć, odgrażać się z butą wielką, to na kleryka to przeciw Mszczuja się ciskając. Nim Kumkodesz miał czas swojego towarzysza skłonić do powolności i zjechać w bok od pijanicy, Mszczuj podjechał do siedzącego na koniu płatnerza, i choć ten mieczyka dobył, ująwszy go za kołnierz od kaftana, z konia podniósł i cisnął nim tak na ziemię, że Niemiec ledwie z potłuczonymi kośćmi, miesiąc odleżawszy, żywym pozostał. Rozgłosiło się to, a że Mszczuja i na łowach z księciem widywano nieraz siłą olbrzymią, strzegli się go ludzie zaczepiać, i Niemcy go omijali.

Oprócz Kumkodesza, do dworu nieszczęśliwego starca, należał z dobrej woli Hebda.

Przed bardzo wielą laty, gdy ten jeszcze był ziemianinem możnym spotykali się oni z sobą i znali. Później Hebda nie poznawał nikogo, lub nie chciał przypomnieć, ale Mszczuja nie mówiąc o przeszłości powitał serdecznie.

Waligóra litował się nad pokutnikiem i dawał mu jałmużnę.

Gdy szli do kościoła, Kumkodesz z jednej, Hebda w małym oddaleniu towarzyszył mu z drugiej strony, zabawiając go nedorzeczną paplaniną. Przeczuciem zgadywał stan jego ducha, prawil mu rzeczy które czasem pół uśmiechu na usta jego wywoływały.

Trwało to tak do wiosny. — Hebda po długiej swawoli, wpadł w ten stan pokutniczy, który po niéj zwykły był następować, leżał krzyżem na ziemi przed kościołami dnie i nocy, nie pił i nie jadł, aż doszedł do znękania takiego, iż go prawie już bez duszy zaniesiono do św. Ducha.

Mszczuj przychodził tam do niego i pilnował chorego razem z zakonnikami.

Na pozór nie zmieniło się nic w tym stanie obezwładnienia w jakim Waligóra zostawał od pamiętnej nocy; biskup dawał mu wypoczywać na duchu patrzył z dala, czuwał, na ostatek dnia jednego przywołał brata do siebie.

— Mszczuju — rzekł — jużes się powinien był pokrzepić, a rany twoje jeźli się nie zablizniły to przyschły, ja ciebie potrzebuję; Leszek chce cię mieć przy sobie, musisz iść na dwór, i trwać tam...

— A niemcy? — mruknął stary.

— Mało tam ich jest, ty z niemi obcować nie potrzebujesz — odparł biskup. — Z dobrym panem będzie ci tam wygodnie i spokojnie. Znasz Leszka... Nie odstępuj

go, staraj się go trochę zahartować, pilnuj aby Marek ze swemi nie czynił mi go zbyt miękkim...

Na dworze serce pana masz, księżna ci sprzyja, nasi i rusini szanują cię, na niemców możesz niepatrzeć — a tyś tam potrzebny.

Różne wieści chodzą — dodał biskup — ja wierzyć im nie chcę. Powiadają, że zasadzki na księcia czynią, że jakąś gotują zdradę, tyś na straży powinien być, bo ciebie się lękają i oko masz, a poczujesz wroga, gdy książe we wszystkich widzi przyjaciół i wierzy każdemu...

Mszczuj się chciał wymawiać jeszcze, lecz biskup Iwo tej siły jaką nad nim miał, użył całej. Rozkazał — stał się posłusznym. Tegoż dnia poszli na Wawel razem, książe powitał uśmiechając się Waligórę tem, iż go ochmistrem czyni nad komornikami i spodziewa się, iż go już nie opuści.

Pozostał więc Waligóra na zamku, gdzie mu izby przeznaczono niedaleko książęcych, aby każdego czasu do nich wolny wstęp miał.

Z Waligórą razem, dwóch czeladzi z Białej Góry przyszło na zamek, ulubiony mu Sęczek który na zamku był jeszcze gdy niemcy na nim gościli i Kurek co szat i odzieży pilnował. Sęczek jak ogień bystry był, swawolny, ale jak pies do pana przywiązany.

Było już lato, Leszek jeszcze nie postanowił nic o zjeździe wielkim, bo biskupi się naradzali, gdzieby go zwołać przystało, a nie wszyscy się nań godzili. Arcybiskup gnieźnieński i Iwo za nim byli, za temi i reszta pójść musiała.

W tej niepewności, gdy i książęta których wyrozumiewano, wahali się, dano znać do Krakowa iż Konrad z Płocka miał w odwiedziny przybyć do brata.

Leszek się tem uradował wielce, bo widział miłość braterską zadającą kłam oszczercom.

Księżna niewieściami przecuciem obawiająca się mężowskiego brata, nie dzieliła jego wesela i okazywała twarz smutną, lecz była Leszkowi powolną i posłuszną.

Zaczęto więc czynić przygotowania na przyjęcie księcia Konrada, a sam pan najczynniejszy był i gdy dzień nadszedł, ze dworem całym wyruszył przeciw niemu za miasto. Waligóra też z urzędu z nim być musiał...

Zdała już na widok świętego dworu księcia Konrada, który cały niemal z niemiecka był strojny i niemców liczył niemało, Mszczujowi oczy krwią zasły. Obok Konrada jechał jeszcze na tem większe utrapienie jego, krzyżak Konrad von Landsberg z kilku ludźmi swojego orszaku. Książe chciał się pochwalić przed bratem pomocnikami temi którym oddał ziemię Chełmińską.

W chwili gdy się spotykali, Mszczuj oczy wlepiwszy w jednego za Krzyżakiem młodzieńca, stanął osłupiały — twarz jego oblała się krwią i zbladła trupio... zaczął drzeć jak w zimnicy i zapomniał się tak, iż go przestrzedz musiano aby na bok ustąpił.

Bracia powitali się uprzejmie bardzo, była jednak wielka różnica w obejściu się obu.

Leszek rzucił się po młodzieńczemu bratu na szyję, objął go, był wzruszony, Konrad uśmiechał się i okazując przyjaźń, pozostał chłodnym. Błysk zazdrości i wprędce uśmiezonego poruszenia, przebiegł mu po twarzy. Obok siebie jechali na zamek, gdzie na nich księżna oczekiwała niespokojna.

Dwór Konrada liczny, okazały, nie ustępował Leszkowemu, krzyżak dodawał mu blasku. Obcy ludzie widzieli w przybyłym chlód i źle pokrywaną niechęć, która się w szyderskich spojrzaniach malowała, Leszek cały był w szczęściu swoim. Przyjęcie dla Konrada zarządzono świetne, począwszy od uczyt wspaniałej tegoż wieczora. Mszczuj który za orszakiem książąt jechać był zmuszony, dał się wieźć koniowi, zsiadł z niego i natychmiast od przedsienu wszedł do swej izby, a tu cisnąc głowę rękami, pół oszalały, jęcząc padł na posłanie.

Nie poszedł już do księcia.

Biskup Iwo, który na zamku był, gdy przyjechali, nie widząc brata, niespokojny posłał na zwiady. Powiedzieli mu dworscy, że chory wrócił i ledz musiał. Chociaż domyślał się biskup przyczyny tej choroby, wyszedł jednak, aby brata skłonić do znajdowania się przy uczcie.

Z prerażeniem porwał się z łoża, gdy drzwi skrzypnęły Mszczuj, Iwo twarz jego zmienioną widząc, zaczął od przeżegnania.

Jeżyły mu się włosy, oczy pały.

— Miarkuj się i panuj nad sobą! — odezwał się biskup.

— Ten zbójca tu jest, ten co mnie w piersi ranił, ten co mi porwał dziecko — krzyknął Waligóra — zbójca tu!

Iwo stał nieporuszony.

— Widzisz wszędzie obraz tego człowieka, jak żeby on się tu mógł znaleźć? — odparł spokojnie.

— Przybył w orszaku Konradowym — ciągnął dalej Mszczuj — ja pomstę nad nim mieć muszę.

— Możeż to być? — powtórzył Iwo.

— Bracie — przysięgam ci! On z drugim zdradliwie napadł mnie i krew moją wyczyli... zasadzili się na mnie gdym gonił, gdy widzieli mnie bezbronnym. On jest! on! Biskup zamilkł...

— Być to nie może — rzekł powolnie — aby się ważył tu przybyć, boć o tobie i o mnie wiedzieć był powinien...

— Urażać mi się przybył — zakrzyczał Mszczuj — a jabym nie miał nastać mu na gardło i zgnieść plugawego robaka!!

— Uspokój się — odezwał się Iwo — daj mi rozpytać, czy cię mylą... Nie wychodź z izby!!

Waligóra chciał mówić coś jeszcze, gdy biskup wyszedł już i powrócił do księcia. W tejże chwili wpadł do komory Sęczek, blady i pomieszany. Zobaczywszy pana swego w tym stanie, w jakim go widywał na zamku, strwożył się więcej jeszcze.

— Tyś tych niemców widział na Białej Górze — zawołał przyskakując ku niemu Mszczuj. — Mów! widziałeś ich!

— Widziałem — mruknął chłopak.

— Ten ci tu jeden jest? — dodał Waligóra, za ramię go chwytając i ciągnąc, aby się z wejrzeniem nie ukrywał. — Mów! poznałeś go?

Strwożył się Sęczek i zabelkotał — Niewiem!

— On jest! on! on! — zawrzał stary — idź! wytrzeszcz oczy. — On.

Sęczek poznał był od razu Gerona, który w istocie przybył w orszaku swojego stryja, lecz znając gniew pana, niechciał potwierdzać, aby rozlew krwi na dworze nie być przyczyną.

Mszczuj drżał cały, zrywał się, kładł, chodził, włosy darł z głowy. Nie wątpił, że jednego z tych dwu miał przed sobą, z którymi walczył i co mu porwali dzieci. Nic go nie mogło powstrzymać od zemsty nad nim, nawet ta myśl, że jednej z córek mógł być mężem.

Z objęcia ich byłby wyrwał i zmiażdżył tego człowieka. Gero przy pierwszym spotkaniu w polu poznał był też przeciwnika swego, nie wiedząc że był ojcem porwanych dziewcząt; widział w nim tylko cudownie zmartwychwstałego człowieka którego napadli oba z Hansem, gdy w pogoni spoczywał i za zabitego go porzucili.

Zmieszawszy się tem że i starzec wlepione miał w niego mściwe oczy, Gero myślał, co ma począć z sobą i jak uniknąć spotkania i zemsty, lecz trochę się uspokoił nie widząc już Mszczuja w izbie i u stołu.

Że on był, zdawało mu się niewątpliwem. Przygoda na Białej Górze była w części znaną stryjowi Konradowi, choć o dziewczętach porwanych krzyżak nie wiedział. Obie one skryte zostały na Burgu Lambach, u matki Hansa, a Gero musiał się stawić do stryja... Znając go, nie śmiał wspomnieć nawet o napadzie i porwaniu.

Ucieczkę z Białej Góry i obronę w lesie od pogoni, opowiadał Geron Konradowi, i Mszczuja ujrzawszy, wybrał chwilę by mu szepnąć, że na dworze księcia spostrzegł tego, którego porąbali.

— To nic — rzekł zimno krzyżak — nie śmieją się do nas uwiązać.

Nie znasz go...

— A jeżeli wyzwie mnie? — spytał Gero.

— I ty się mnie pytasz co masz czynić, gdy rycerz rycerza wyzwie na rękę? — odparł stryj szydersko.

Gero zamilkł.

Krzyżak przejęty wielkiem znaczeniem zakonu swojego, lekcewał sprawę — któż mógł śmieć tknąć jednego człeka ze dworu brata niemieckiego domu szpitala Maryi Panny?

Sęczek wybiegł z komory i choć oczy jego bystre nie potrzebowały potwierdzenia tego, co raz widziały, wkradł się do jadalni, aby Geronowi przypatrzeć. On był! nie miał już wątpliwości. Nie wrócił jednak do pana — aby gniewu jego nie rozżarzać.

Uczta przeciągała się długo... Opowiadano o poganach pruskich, o wyprawie na nich, o budowaniu zamków dla zakonu nad Wisłą, o pokonaniu dziczy, którego Konrad był pewnym.

Ucztowanie coraz gwarniejsze, do którego Leszek gościnnie zachęcał — aż do nocy przetrwało. Gospody dla Konrada księżęcia i towarzyszków jego naznaczono w domostwach na Wawelu. Późno już zaprowadzono gości na spoczynek.

W osobnej komorze Konrad von Landsberg miał posłanie z bratankiem. Nie zapomniano im postawić na noc „*schlaftrunku*” do którego Niemcy byli nawykli, choć przy stole napoju im nie żalowano. Konrad przybył do komory dobrej myśli, po trosze się naigrywając z prostoty dworu, z niepoczesnego zamczyska, z obyczajów polskich, które barbarzyńskimi nazywał.

Gero wtórował mu nieśmiało, mając na myśli owego starca i oczy jakimi on go zmierzył przy spotkaniu.

Kładli się już, gdy zastukano do drzwi.

Jeden z knechtów wywoływał Geroną mówiąc, iż ze dworu urzędnik potrzebował widzieć go.

— Niech tu wnijdzie! — odparł Konrad.

Geronowi obawę okazać nie zdało się godnym rycerza. Miecz tylko co odpasany ująwszy w rękę wyszedł natychmiast.

Mszczuj stał czekając nań za progiem. Spojrzeli tylko w oczy sobie — słów nie potrzebowali, Landsberg widział walkę nieuniknioną. Waligóra pokazał mu plac blizki pod wałami. Księżyc oświecał go słabo.

Poszli w milczeniu, Gero po przedzie, stary za nim tak blisko, że gorący oddech jego czuł nad sobą.

Konrad w izbie oczekiwał na powrót bratanka. Usłyszał w cichości odstępujące ode drzwi kroki, uspokoił się.

Rozdziewać się więc począł powoli, z roztargnieniem szepcząc modlitwę obowiązkową.

Nasłuchiwał coraz, czy bratanek nie powraca, nie było go.

Knechtów dwóch spać miało u progu, zawołał na jednego z nich krzyżak.

— Gdzie Geron?

Nie było go w pobliżu, poszedł więc szukać pacholek i wrócił z tem, że znaleźć nie mógł...

Dobry czas upłynął znowu, Konrad niespokojnym być zaczynał, rozkazał zapalić pochodnie i wyszedł w podwórze z knechtami.

Tu panowała cisza wielka... ludzie spali, na wschodzie poczynał brzask dnia świtać... Geroną nie widać było nigdzie... Stał nagle krzyżak na suchej ziemi nogą padłszy w mokrą kałużkę. Była to krew... ale ciała z którego upłynęła nie znalazł.

Tuż na wale wznosił się ostrokoł zamkowy... Jakby dróżynę krwi idącą widać było ku niemu, knechty z pochodniami podbiegli i jeden z nich krzyknął...

Za ostrokołem na wale leżał Gero okrwawiony, bez duszy... Stryj rzucił się ku niemu z okrzykiem rozpaczliwym. Pacholki natychmiast przebrali się przez częstokół i zbliżyli do leżącego — który dyszał jeszcze. Nadzieja ocalenia życia straconą nie była.

Mszczuj w swej izbie na posłanie padłszy, przy którym miecz okrwawiony postawił, leżał ujęty snem głębokim.

## V

Na dworze nazajutrz nie pokazał się brat Konrad von Landsberg, Mszczuj leżał chory.

Księża brat Leszków, chodził nachmurzony ale milczący..., a ilekroć spojrzała nań księżna, dreszcz przechodził po niej i małego Bolka tuliła do siebie ze strachem macierzyństwa...

Konrad przybierał wesołość nie dobrze udaną. O Krzyżaku, który nocą gdzieś wyruszył z zamku powiedział Leszkowi że do Niemiec zjechać miał dla naradzenia się w sprawach zakonu.

I tego dnia książę krakowski przyjmował brata z gościnnością wspaniałą, z weselem na twarzy, często powtarzając uściski, które płocki książę zimno przyjmował.

Biskup Iwo, Wojewoda Marek, wszystka starszyzna zwołaną była i przytomną. Sam książę Konrad wezwał brata dnia tego na poufną naradę.

Leszek otwierał mu całe serce swoje.

— Zwołajmy się wszyscy, — rzekł, — jako ojciec nasz do Łęczycy zgromadził książąt, duchowieństwo i rycerstwo — postanówmy pokój! utwierdźmy zgodę.

— Z tą myślą i ja przybywam, — odparł Konrad — bo i ja potrzebuję pokoju abym całe siły, wspólnie z Krzyżakami mógł na pogan pruskich obrócić.

Nie ociągajcie się. — Po drodze byłem we Wrocławiu, książę Henryk przybyć obiecuje, Laskonogi musi stanąć.

— A Odonicz i Światopełk? — zapytał Leszek — wszak i ci we dwu opierać się nie mogą...

— I nie będą — rzekł Konrad. — Odonicz jest znużony wojowaniem, Światopełk... Tu przerwał.

— Z tem najtrudniej, rzekł Leszek, — więcej mu się chce niż należy...

— Przeciwno wszystkim nie pójdzie! — odparł Konrad.

— Poprzemy wasze pragnienie zgody i pokoju, — odezwał się Biskup Iwo..., — ojciec nasz Gnieźniński, wiem to zjedzie aby przewodniczyć naradom... Pasterze wszyscy pospieszą za nim!! Rycerstwo przedniejsze wezwać potrzeba, przynajmniej z tych ziem, których los się będzie rozstrzygać.

Książę Konrad namarszczył się usłyszawszy to.

— Dostyc naszych dworów, comesów i baronów, przy osobach naszych zostających — rzekł — innego rycerstwa nie widzi mi się ani wzywać, ni pytać. Mnoży to ich niesworną butę a osłabia władzę naszą. Nauczyci się już krakowianie wasi książąt wsadzać i zsadzać wedle upodobania, niech inni się od nich nie zarażają. Dalej my z władzą naszą ulegać im będziemy musieli, głowy nie stanie.

Z Biskupami się już dzielić musimy, którzy lepszą część wzięli, gdy rycerstwu damy siłę, czemże my będziemy?

Iwo słuchał spokojnie, Leszek oczy spuściwszy.

— Obyczaj to zły, — ciągnął dalej Konrad, — małym dawać kosztować władzy..., pogańskieby wróciły czasy gdy gmin przewodził.

— Uchowaj tego Boże — rzekł Biskup. — Co książętom należy tego tknąć nikt nie powinien, stróżami są praw i obrońcami granic, ale rycerstwo też wszędzie do rady przypuszczane bywa...

Konrad się zapomniał nieco.

— Ojcie mój, — rzekł skwapliwie, — rycerstwu dajecie głos dlatego że ono całe w rękę waszym... Mocy i tak Rzym i wy macie podostatkiem, nam też jej potrzeba...

— Bylebyście jej wedle prawa Chrystusowego zażywali — odezwał się Iwo spokojnie.

Leszek zdania swojego nie wypowiadał, patrzył na Biskupa, Konrad na niego — milczeli nieco. Z twarzy księcia Mazowieckiego widać było lekceważenie pewne i ufność w swą siłę.

— Na kiedyż zjazd i dokąd go naznaczycie? — spytał rzucając już przedmiot drażliwy Konrad.

Leszek popatrzył na Iwona, a stojący z boku Wojewoda podniósł głos.

— Zdałoby się ażeby go nie tak daleko od pomorskiej naznaczyć granicy; i powodu nie dawać Światopełkowi do odmowy... Lękać się będzie może, znając pana swego zagniewanym, głębiej w kraj zapuszczać...

Konrad głową dał znak przyzwolenia...

— Gdzieś około Nakła należałoby się ściągać — rzekł powoli Leszek.

— Tak — zawołał Konrad, — ażeby jeśli go Światopełk nie zda dobrowolnie, odebrać je od niego.

— Co sprawiedliwa — rzekł Biskup.

— Nie powinniście stać o Nakło które pomorskie było — odezwał się Konrad, byle Światopełk daninę płacić przyrzekł...

Nikt nie rzekł nic.

— Mnie też wiedzieć potrzeba — dodał Mazowiecki książę, — kiedy zjazd mieć chcecie; bo koło granic czuwać muszę.

Dopóki lato i żniwa nikomu niedogodnie ciągnąć z domu. Duchowieństwo też dzie sięciny musi pobrać wprzód, a chcecie rycerstwa, ci też doma co czynić mają do jesieni...

— Więc jesienią, a nie późną, bo leżeć pod namiotami i w szałasach, gdy mrozy ścisną nie wygodnie, — rzekł Leszek... — Choćbyśmy gród znaczny wybrali, nas, duchownych ojców i dworów żaden nie pomieści.

— Nawykliśmy do namiotów! — rozśmiał się Konrad — ciepło one trzymają, a w nich człowiekowi rycerskiemu raźniej niż w chacie co jak stos suchy od lada iskry płonie.

— Na święty Marcin poraby była — wniósł Biskup.

— Zgoda na to — potwierdził Leszek — wielki ten patron, co się płaszczem z ubogim dzielił nauczy nas dla zgody coś poświęcić.

Konrad miał uśmiech szyderski, który powstrzymał.

— A miejsce? oznaczyć trzeba je zawczasu, aby się każdy przysposobił.

— Jak myślicie? — zapytał Leszek Biskupa...

— W tamtej stronie znajdzie się pewnie jaka wieś klasztorna z kościołem, na której gruntach rozłożyć się będzie łatwo...

Książę Konrad szukać się zdawał w myśli.

— Mają tam swoją ziemię mnichy z Trzemeszna — rzekł podumawszy.

— Gąsawę, jeśli się nie mylę, — dołożył Biskup. — Dla nas to wielu daleki kraj i okolica pustynna — lecz gdy w stronie Nakła trzeba się zbierać a nad granicą — i w Gąsawie dobrze. Długo leżeć tam nie potrzebujemy, przy pomocy Bożej.

— Do Światopełkaby zaraz słać — dodał Konrad, — aby czas do namysłu miał.

— Wam to w imieniu brata najłatwiej będzie — rzekł Biskup. — Poprzecie swoją powagą jego żądanie... ślijcie, ślijcie...

Leszek zbliżył się ku niemu, rękę na jego ramieniu położył i dodał uśmiechając się, bez złej myśli.

— Wy też, sądzę ze Światopełkiem lepiej jesteście niżeli ja.

Konrad drgnął i bystro spojrzął w oczy bratu, posądził go o złośliwość może, o wymówkę lecz z wejrzenia dobrodusznego łatwo się mógł przekonać że Leszek powiedział to, nie chcąc mu czynić wymówki, i odezwał się.

— Bliżej mi, to pewna — a żebym się ze Światopełkiem kumał nie myślicie pewnie, gdy z tobą trzymam.

Ścisnął mu rękę Leszek.

— Ciebie, księcia Henryka i Laskonogiego pewny jestem zarówno — rzekł. — Sprawa to nas wszystkich, powszechnego pokoju i szczęśliwości ziem naszych. Wojować z nieprzyjacielem krzyża świętego, z błogosławieństwem ojca naszego rzymskiego papieża, chlubna jest; między sobą — niegodziwa.

Konrad potwierdzać się zdawał słowa brata, chociaż twarz jego ciągle namarszczona, usta ściskające się półuśmiechem innych myśli dowodziły, nieumiejętnie ukrywanych.

Rozmowa zbliżała się do końca. Oczywiście niekiedy badał księcia Konrada wojewoda Marek, zadawał mu pytania, szukał jego wzroku, gdy książę Mazowiecki przeciwnie zdawał się go unikać i do wojewody nie zbliżał.

— Stoi tedy czy nie, na św. Marcina, do Gąsawy! — zapytał Iwo, — bo zawczasu listy pisać trzeba, a ludzi słać.

— Na św. Marcina — przerwał Konrad, — a czy w Gąsawie czy gdzie koło niej dogodniejsze się miejsce opatrzy, wszystko jedno.

— Nie oddalając się od granicy, — powtórzył Wojewoda cicho — boć przyczyna ważna...

— Ani od Nakła — dodał Leszek zamyślony.

— Toć jedno — potwierdził Biskup. — Na św. Marcina.

— Na św. Marcina! — powtórzył Konrad.

— Na Ślązko i do Laskonogiego ztąd się pośle, wy Światopełkowi dacie znać.



— Przez Odonicza też można mu to zwiastować — dodał chmurno Konrad, jakby stosunku wszelkiego ze Światopelkiem chciał uniknąć i podejrzania oń.

Wstał Biskup Iwo wspierając się na poręczach krzesła.

— Niechże Bóg błogosławi przyszłym radom i paktom, a natchnie serca wasze duchem pokoju i zgody braterskiej. Amen...

Mówiąc to wyszedł z komory, a że książę wnosił iż do dzieci jego i żony, jak codziennie, musiał się skierować, nie towarzysząc mu, pożegnał tylko spiesznie niskim pokłonem pozdrawiającego Marka, który za Biskupem z izby się wysunął... Bracia pozostali sami.

Iwo siedł do brata, o którego od wczoraj był niespokojnym. Gdy mu otwarto drzwi, przy których Sęczek siedział na ziemi, Mszczuj leżał jeszcze, od wczoraj nic, oprócz wody, w usta nie biorąc. — Spał lub drzemał ciągle. Miecz obnażony, na którym krew zaschła, co ryneką w nim na podłogę nie spłynęła — stał o ścianę oparty.

Oko wchodzącego Biskupa padło instynktem nań i zatrzymało się na zczerniałej plamie z posoki która u miecza została.

Stanął ręce złożony.

— Mszczuj! — zawołał wskazując na miecz.

Waligóra podniósł się z posłania, oczy przecierając, ciężki oddech z piersi mu się dobywał.

Drżący palec biskupa ciągle ku mieczowi był skierowany.

— Mszczuju! to krew!

Stary spojrzął na swój miecz obojętnie.

— Krew — powtórzył zimno — niemiecka.

Iwo nie mógł słowa przemówić długo.

— Zabijeś go! — wyjęknął drżący.

Za całą odpowiedź Waligóra ręką w stronę ku wałom zamachnął.

— Precz wyrzuciłem to ścierwo, aby pańskiego domu nie kalało... Ten był od którego rany bliznę noszę.

I pokazał obnażając pierś pręgę na niej czerwoną.

Trwoga i politowanie malowały się na pogodnym zawsze obliczu Biskupa...

— Mszczuju — zawołał, — grzeszniku niepoprawiony, zakamieniały. Potrzeba ci było gościa pana twojego tknąć, tego który wczoraj u jego stołu chleb z nim łamał...

Waligóra nie odpowiadał, głowę trzymając spuszczoną jak winowajca który na wszelką karę jest gotowy, przewidział ją i przyjmuje.

Biskup jęczał przejęty.

— Cóż się z nim stało? ranny? zabity? gdzie?

— Nie wiem — rzekł Waligóra, — rzuciłem go won za parkany.

Sęczek który stał z tyłu, począł mruzczyć coś, tak że Biskup ku niemu się zwrócił.

— Nocką go zaraz wzięli Niemcy i precz po cichu powieźli, tylko ks. Konradowi się opowiedziawszy.

— Umarłego czy żywego? — zapytał Iwo.

Sęczek głową pokiwał.

— Kto go wie? u nich dusza twardo siedzi, może i żywy, bo się ruszał gdy go nieśli...

Na to słowo — żywy — Mszczuj poruszył się i mimowolnie za miecz chwycił, jakby go chciał iść dobijać. Biskup strasznym głosem krzyknął nań.

— Rzuć ten obrzydły miecz, bo zginiesz i ty od niego, ty coś nim na życie bliźniego nastawał, zginiesz od niego!

Ledwie wyrzekłszy to proroctwo, które wywołało oburzenie, Biskup pożałował go i zamilkł ręce wznosząc ku niebu.

— *Miserere nobis! Miserere, Deus!* — szepnął po cichu i upokorzony z sercem ściśniętym z izby wyszedł.

Mszczuj patrzył za nim — i zobaczywszy Sęczka który w progu stał, żywo skinął nań.

— Żyw był? — szepnął — to nie może być! padł. Cisnąłem nim... ubił się — powinien był się rozbić. — Żyw był?

Sęczek palce kręcił nie umiejąc odpowiedzieć... Waligóra padł na posłanie..., popatrzył na swe ręce, jakby im słabość wymawiał i westchnął ciężko, potem na swój miecz, który

sianem ocierać zaczął, lecz zaschła krew nie schodziła z niego — pchnął go od siebie aż padł brzęcząc na podłogę...

We drzwiach ukazał się zagląający ostrożnie Kumkodesz.

Waligóra unikał jego wejrzenia, pytał się lękał.

— Czy cię Biskup przysłał? — zamruczał.

— Nie — samem przyszedł, ludzie mi mówili żeś W. Miłość chory...

— Zdrow jestem — odparł Mszczuj ponuro — zdrow!

Kumkodesz dostrzegł miecza leżącego na ziemi i cofnął się.

Waligóra zadumany, zapatrzony na podłogę i zaschłą krwi kałużkę mrucał coś, wtem jakby rzuciła nim myśl jakaś nagle zrodzona, porwał się z posłania.

— Ojczaszku, — rzekł do Kumkodesza — chciałbym ja trochę odetchnąć powietrzem, a samemu chodzić smutno. Przejdziemy się po mieście razem. A co?

Kleryk, który się zawahał trochę, po namyśle krótkim przystał.

Mszczuj nie zważając nań miecz, jak był w pochwy wsuwać zaczął, aby go przypasać, i mrucał.

— Chorego, rannego człeka nie powiozą daleko, gdzieś, jeśli żyw musi być na gospodzie, kiedy z zamku go sprzątnęli! a jeśli zdechł toć gdzieś będą grzebać...

Nie dosłyszał tych wyrazów kleryk, lecz podejrzliwym okiem spoglądał na Mszczuja, który kołpak nakładał.

Pomijając dworzec książęcy i główne wnijsie do niego, wyszli zwolna we dwu w podwórze i do wrót wielkich. Tu, już odżywiony znów Hebda ich spotkał, wskazując palcem na zamek.

— Zdrajcy najechali! — szepnął — ja ich znam...

— Tst — toż brat rodzony pana jest na zamku — zawołał Kumkodesz.

— Jakem ja żył na świecie — począł rękami wyprawiając różne sztuki Hebda — jakiem żył na świecie, trafiło się że Sędzicha na świat bliźnięta wydała, co się przed narodziem pokąsały.

— Milczałbyś! — zgromił go kleryk.

— Oni nam pana wyciągną gdzieś w pola, w lasy, w pustynie, — kończył nie zważając Hebda — i zamordują! Ja nad nim miecze widzę i jego nagiego ranami okrytego... O! żeby go Bóg strzegł!!!

— Szatan ci w oczach te widziadła stroi — gniewnie rzekł Kumkodesz. — Biskupa naszego niemi trwożysz. — Patrzaj żebyś go nie pogniewał na siebie.

Hebdzie twarz skrzywiła się jak do płaczu.

— Nieszczęśliwy ja! — wyjąknął — milczeć nie mogę, a za mowę mnie chłoszczą. Choćbym oczy zamknął, widzę, a com widział muszę rzec tym którzy są ślepi.

— Toć bluźnisz! — spierał się z nim kleryk — jakbyś ty miał być szczęśliwszym od naszego świętego ojca i więcej widział od niego?

Rozgniewał się żebrak.

— Albo to szczęście widzieć czego drudzy nie mogą — krzyknął — na to aby się urągali. — Toć kara Boża...

Zaszlochał twarz ocierając..., aż Mszczuj któremu trzeba było o niemcu się swym dowiedzieć, przypomniawszy że Hebda po mieście się włóczył i widział wszystko — zwrócił się do niego.

— Sluchajno, Hebda! a nie widziałeś rannego czy zabitego niemca, którego z zamku wynieśli nocą czy na zaraniu?

Żebrak głową kiwnął. — Mszczuj stanął i zbliżył się do żebraka, któremu kleryk zapóźno zaczął dawać znaki aby milczał.

— Cóż to, wy, Waligóro — chcecie Niemca ratować? — odparł Hebda, — nie wiedząc wcale jak ma sobie radzić.

Mszczuj szydersko zgrzytając zębami rozśmiał się.

— Ratować, a! ratować go chcę! zgadłeś, ty co widzisz jasno! — mruknął. — Nie wiesz o nim co?

Hebda na sobie poprawiał lachmany.

— Co ja mam o Niemcach wiedzieć — rzekł — ja mojej duszy pilnować muszę, i z tą dosyć biedy mam... To też robota niemała... bo na nią djabli czyhają jak kot na ptaszka w klatce... A mnie co Niemcy obchodzą!

Kumkodesz z pytania tego wnosząc poco stary wyszedł na miasto, nie bardzo mu chciał towarzyszyć, ani go też samego puszczać.

— Co mamy po mieście się błąkać — odezwał się do Mszczuja, — zajdźmy do biskupiego dworu i ogrodu w cień, tam spoczniemy.

Waligóra potrząsnął głową.

— Ja pójdę na miasto, — rzekł krótko — a wy, jak chcecie.

Gdy to mówili z sobą Hebda się przysłuchiwał.

— Darmo nie wlecż się, Mszczuj! — rzekł powoli. — Ja czuję czego ty chcesz i szukasz, ty krwi niemieckiej pragniesz, tego coś ty mu ją puścił nie ma już! Hę? hę? Wzięli się do niego niemcy, obwiązali, obłożyli i między dwa konie położywszy na płaszczach powieźli precz na spokojne miejsce. Już go nie dogonisz... nie.

Hebda wpatrzył się w siną dał, oczy mu się niepomiernie otworzyły, jakby miały z pod powiek wyskoczyć; nie poruszając źrenicami, nie zwracając wzroku, począł mówić.

— Nie bój się, spotkacie wy się jeszcze! spotkacie!

Potem oczy sobie zatulił i przetaił. Kumkodesz który mu się w czasie tego osłupienia przypatrywał, krzyż nad nim zrobił.

— Szatan go opętał! — mruknął. — Chodźmy.

Mszczuj jednak, na którym mowa żebraka zrobiła wrażenie, nie miał już ochoty iść na miasto.

— Do biskupiego ogrodu! — odezwał się cicho.

Hebda towarzyszył im jeszcze do bramy, tu doszedłszy, popatrzył z żalem na odchodzących i padł na ziemię odpoczywać.

Tegoż dnia wieczorem niecierpliwy książę Konrad napowrót się wybierać zaczął. Proszono go daremnie, aby pozostał dzień jeszcze, śpieszył się do domu, a wrywał się przed nocą pod pozorem gorąca. Leszek, pilnujący zwyczajów starych, nie wypuścił brata bez podarków. Kazano ze skarbca naładować wóz srebrnym sprzętem, futrami i sukniem, wszystkim co pod owe czasy najdroższem było. Towary byzanckie jedwabne i bawelniane, kosztowne rzeźby ze słoniowej kości, pióra; z Wenecyi przychodzące afrykańskie hafty, zwierciadła; tkaniny z Niniwy i Bagdadu; sukna z Fryzyi i szkarlaty, wszystko tam było.

Konrad pożądliwem okiem poglądał na te dary, ścisnął brata, lecz więcej widać w nim było zazdrości tych bogactw, których mu cząstkę dawano, niż uciechy z nich. Myślał co krakowski skarbiec zawierał!

Leszek nocą wyjeżdżającego brata przeprowadził tylko do bram miasta. Tu podczasowie podali kubki srebrne pozłociste i dzbany, aby na szczęśliwą drogę wychylono ostatni.

Leszek padł w objęcia brata.

— Konradzie miły — rzekł — bratem mi bądź zawsze jakoś był dotychczas, trzymajmy się a oba silni będziemy. Ty i ja mamy dzieci, niech i one żyją w zgodzie i jedności, a sobie będą braćmi, miłości naszej Bóg pobłogosławi!

Na to przemówienie Konrad odpowiedział wesoło, pospiesznemi a nieporządnemi słowy, zaręczając bratu za wierność swą i przywiązanie do niego.

Rozstali się po uściskach powtórzonych, i Leszek zwolna wrócił na Wawel, z uczuciem smutku, któremu obronić się nie mógł. Gdy wszedł do żony, zastał i ją pogrążoną w myślach i chmurną.

— Pewniejszy jestem Konrada, choć nigdy nie wątpiłem o nim — odezwał się Leszek do żony, która go milcząc witała. — Przybył w dobrej myśli, z dobrem sercem. Ludzie go potwarzają okrutnym czyniąc i chciwym panowania. I on jak ja żąda spokoju i nie ma go, dlatego musi się troszczyć i zabiegać... Bóg da, Gąsawa wszystkim nam pozwoli odetchnąć.

Księżna nie wiedziała nic jeszcze o naznaczonym zjeździe.

— Panie mój — zapytała — cóż to jest ta Gąsawa?

— Na Św. Marcina wszyscy się tam u granicy zebrać mamy, my i biskupi, aby wielki pokój postanowić...

Księżna zbladła i zadrżała.

— Pojedziesz tam! — przerwała z trwogą. — Jako? sam? ze dworem tylko? bez wojska? pośród nich co na ciebie czyhają!

Uśmiechnął się Leszek, całując ją w czoło.

— Dobra ty moja niewiasto — odezwał się z poczuciem męskiego rozumu i siły — wy się bo lękacie wszystkiego i cienia nawet. Cóż mi się tam stać może? Więcej niż wojsko najliczniejsze ubezpiecza mnie cały zastęp duchownych, brat mój, Henryk Wrocławski, wreszcie moja własna powaga, na którą niktby się targnąć nie śmiał.

Księżna słuchała płacząc rzewnie, nie dając się przekonać, aż Leszek prawie gniewnym być począł, chociaż względem żony nigdy surowym być nie mógł.

— Niewieście strachy, które i mężkiemu sercu odejmują siłę! — zawołał. — Czegóż się tam lękać można gdzie ze mną ojciec nasz Gnieźniński i ojciec Iwo razem będą...

— Daruj mi — cicho rzekła księżna — grzech może posądzać, ale ci, których ty za przyjaciół liczysz, mnie trwożą. Konradowi nie ufam.

Książę się oburzył i ręce załamał.

— Jemu! bratu rodzonemu, którego ja miłuję tak, który do mnie jest przywiązany!!

Księżna zamilkła.

Upłynęła chwila w milczeniu. Grzmislawa usiadła na ławie swej, podpierając się na białej dłoni.

— Gdybyś mnie posłuchał — rzekła nieśmiało — ale ty babskiej rady nie przyjmiesz.

— A cóż byś ty radziła? — spytał Leszek ciekawie.

Ociągała się nieco z odpowiedzią księżna, utkwiała wzrok w męża.

— Mnie gdybyś słuchać chciał — dodała — pobożnemu i świętobliwemu Iwonowi dał byś moc od siebie wszelką, a uczyniłbyś się chorym i nie jechał ani do Gąsawy, ani nigdzie ku granicom. Światopelka się boję! lękam się wszystkich! Odonicza, a — Konrada nawet!

Znowu zmarszczył się Leszek.

— Mówcie co chcecie na innych — przebaknął — na Konrada tylko nic. Chowaliśmy się razem, u jednej matki na rękach... A, komuż by już dać wiarę!!

— Nikomu! — szepnęła Grzmislawa — mądry, wierzaj mi, nie ufa ludziom nigdy.

— Tyś rusinka — odparł Leszek weselej — a rusini nie ufni są.

— Twoja matka była nią także — odparła urażona nieco księżna — przecie ufała do zbytku. Tyś po niej wziął powolność tę... dobry panie mój.

I schyliła się przed nim błagając go.

— Nie jedź do Gąsawy. Niechaj biskupi pokój stanowią, niech książęta tu, do ciebie, starszego nad niemi poprzyśiądź go przyjadą. Ty, miły mój, nie jedź do Gąsawy...

Wzruszył ramionami książę, jednak naleganie to utkwilo w nim i słysząc powtarzane — Nie jedź do Gąsawy, — nazajutrz chwiać się począł.

Lecz właśnie wśród tej niepewności, nadszedł zrana wojewoda Marek.

Ten jakby odgadnął Pana, począł od wieszowania mu myśli błogosławionej zjazdu tego, który miał krwi oszczędzić.

— Miłościwy panie — rzekł, — Pan Bóg nam natchnął was, gdyście rozkazali zbór ten powszechny, bo ten musi wszystko skończyć...

— Nie prawdaż? — odparł uradowany Leszek, który potrzebował takiego potwierdzenia i zachęty.

— Znajdą się tacy co mi rzekną — dodał — abym nie jechał z obawy Światopelka i Odonicza, znajdą się, co i na innych podejrzenia rzucą... lecz ja.

— A! — odezwał się z nadzwyczajną żywością podchodząc do Leszka Marek — nie słuchajcie, miłościwy panie!! niesłuchajcie! Będziemy z tobą, będzie duchowieństwo, będzie ks. Henryk, cóż tam ci grozić może?

— Ja też wcale się nie lękam niczego — rzekł Leszek spokojnie.

Wojewoda mówił jeszcze wymownie bardzo za zjazdem, potem dłuższy czas pozostając, rzekł z ubolewaniem.

— Nie miłać to rzecz co się stało z bratankiem owego krzyżaka, aleście wy, miłościwy panie, nic temu nie winni.

Leszek, który nie wiedział nic, przypadł do wojewody.

— Co się stało z nim?

Zawahał się Marek nie chcąc być oskarżycielem brata biskupiego, lecz było mu na rękę Odrowążów z łaski pańskiej wyzuwać. Udając więc strapienie, dodał.

— Stara jakaś sprawa pono między niemi była, biskupim bratem, burzliwym Wali-górá, a tym bratankiem krzyżaka. Stary siłę ma po dziś dzień straszną, i jeżeli nie zabił na razie niemca, niewiele mu życia zostawił.

Przeraził się Leszek.

— Temu więc i pospieszny wyjazd Konrada przypisać trzeba! i jego ponurą myśl przy rozstaniu.

— Mszczuj szalony jest ze swą nienawiścią przeciwko Niemcom — dodał wojewoda. — Na dworze go trzymać, choć człowiek poczciwy jest, niebezpiecznie.

Otworzył książe drzwi wołając na starszego marszałka dworu, który nadbiegł pospiesznie.

— Co za sprawę i spotkanie miał Mszczuj Odrowąż z Niemcem? — zapytał.

Starzec należący do przyjaciół biskupa i jego rodziny, zawahał się mówić przy Marku. Zatarł ręce zafrasowany.

— Miłość wasza wie, że mu córki Niemcy pochwycili i uwięzili — rzekł. — Bodaj jednego z tych poznał w młodym Landsbergu, niema dziwu, że się nań porwał.

— Zabił go? — zapytał Leszek.

Stary pogładził się po brodzie, namyślając się nad odpowiedzią.

— Żył gdy go z zamku wyniesiono — rzekł powoli — a co potem się stało, nie wiem.

— Na zamku pańskim miecza dobyć — odezwał się wojewoda surowo — występkiem zawsze jest.

Książę stał zamyślony...

— Marku mój — rzekł po chwili łagodnie — a gdyby mi kto porwał dzieci moje, jedyne, myślisz iżbym mu nawet na progu kościoła przebaczył?

Nie śmiał się sprzeciwić wojewoda, powlókł oczyma dokoła, ramionami zlekka poruszył.

— Miłościwy Panie, nie winię ja go — dokończył — ale ludzi tak sierzdistych przy boku trzymać, niebezpieczna rzecz!!

## VI

Jesień była, nadchodził ten dzień, w którym wielkie pokładano nadzieje... Sposobiło się wszystko ciągnąć na kresy ku Pomorzowi, do Gąsawy, gdzie zjazd był naznaczony.

Światopełk i inni z nim zrozumieli wybór miejsca tego jako groźbę. Leszek ciągnął z częścią wojska swojego, a inna miała, jak mówiono pogotowiu być, i jeśliby pomorskie książę nie upokorzył się z dobrej woli, łatwo mu było i Nakło odebrać i ścigać go dalej.

Nic jednak nie wróżyło, ażeby wielki zjazd książąt i duchownych miał się rozejść bezskutecznie...

Leszek miał za sobą i z sobą nie samą własną powagę, nie tylko duchowieństwo całe, ale Henryka Szlązkiego, Konrada i Laskonogiego.

W Krakowie wybierano się wesoło, choć wielce strwożona księżna płakała, zaklinała i prosiła, aby mąż nie jechał.

Nękanym postrachami temi Leszek musiał wezwać biskupa Iwona, ażeby słabej niewieście wlał męztwo. Grzmisława uległa naukom duchownego, zamilkła, nie mówiła więcej nic, lecz łzy jej z oczów płynęły, a nieme usta milczeniem jeszcze błagały — zostać.

Naprzemiany Leszek był jednym dni gotów jej usłuchać, to, wstydzając się małoduszności przyspieszał wyjazd ze swej stolicy.

Przodem już wyciągały tabory biskupa i książęcy, aby w małej wioszczynie przysposobić dla mnogich panów przyjęcie. Stawiano szopy, budowano łąźnie, bez których się naówczas nikt nie obchodził, a książęta wychowane przez matki rusinki przywykłe były do niej. Z książęcych i duchownych majątności i grodów zwożono siana, składano stogi, zsypywano zboża, mąki i krupy dla mnogiej czeladzi, spędzano trzody na rzeź przeznaczone.

Każdy z pasterzy wiódł z sobą oprócz duchownego dworu, rycerstwo swe, urzędników, czeladzie, namioty. Na miejscu nic się znaleźć nie mogło, wszystko więc trzeba było ciągnąć z sobą.

Biskup Iwo miał jechać z księciem razem, któremu dwór towarzyszył świetny i mnogi. Pomimo starań Marka wojewody, Mszczuj pozostał przy nim, i był też wyznaczony jechać z panem.

Na kilka dni przed wyjazdem księżna tak jego jak innych, powołała do siebie, obdarzyła i zaklęła aby przy panu dzień i noc stali czuwając...

Niewieścią tą obawę rozumieli ludzie poważni i tłumaczyli ją, chociaż nikt nie miał najmniejszej trwogi ani podejrzenia. Przy takiej sile, w takiej gromadzie cóż się Leszkowi stać mogło?

Drugim takim przerażonym był nieszczęśliwy Hebda, który Biskupowi drogę zabiegał, na kolana się przed nim rzucał, i prawil po szalonemu urojenia swoje iż księcia widział ciągle we śnie i na jawie nagiego, ranami okrytego.

Lecz na słowa szalonego któż mógł zważać? Gromiono go i odpędzano, a Hebda nie ustawał w swem prorocत्वie.

Lękano się, ażeby nie zabiegł drogi Leszkowi, nie przestraszył więcej księżnej, gdyż nieustannie kogo spotkał ostrzegał o niebezpieczeństwie, była więc mowa o zamknięciu go w szpitalu u św. Ducha na czas pewien — póki z Krakowa nie wyruszono.

Wielką litość mający nad nim Biskup, który choć wyposażał kościoły i klasztory, ale około domu sam jeden pieszo chadzał często, na parę dni przed naznaczonym wyjazdem, jak zwykle Hebdę spotkał na swej drodze do kościoła św. Trójcy.

Tu on modlić się lubił, za najmilsze swe uważając go dzieło.

— Ojcie mój święty, ojcie litościwy, — zawołał żebrak goniąc za nim, — nie puszczajcie pana ztąd! nie puszczajcie — bo ja krew widzę... krew i miecze.

Iwo stanął...

— Człecze uparty, — rzekł surowo — azali nie wiesz że bez woli Pana włos z głowy człowieka spaść nie może? Szaleństwu twojemu lituję się, a prorocत्वom nie wierzę, ale drugich trwożyć będziesz... chcesz abym zmuszony zamknąć cię kazał?

Była to najstraszniejsza groźba jaką Hebdzie uczynić mógł pobożny Biskup. Nie lękał się on ani głodu ani chłodu, ale samo przypuszczenie niewoli i zamknięcia we wściekłość go wprawiało. Stanął drżący.

— Ojcie miłosierny — krzyknął ręce do góry wznosząc, — nie uczynicie tego, bo macie litość nad biednym pokutnikiem. — W ciemności mnie skutego rzucić — toć śmierć!

— Milcz więc! — rzekł biskup — jać nakazuję!

I krzyż nad nim uczynił.

Żebrak jakby cudem rażony, usta zamknął ale oczy krwawe podniósł do Nieba i błagał o ich rozwiązanie. Szedł za Biskupem i jęczał...

— Nie rozwiążę ci ust — nie — mówił Iwo — idź, módl się za grzechy, a ludziom męztwa potrzebnego nie odejmuj...

Doprowadziwszy Biskupa do kościoła, Hebda nie śmiał do niego wnijść za nim. U progu się położył krzyżem...

Od tego dnia głosu z ust jego nie posłyszano, biegał tylko przerażony, rękami coś pokazując, bijąc się w piersi i szyję, to na zamek, to ku Północy palce wyciągając...

Przyszedł naostatek dzień do wyjazdu naznaczony. Zrana jeszcze księżna przybiegłszy do męża, próbowała go wstrzymać napróżno, potem sama towarzyszyć mu napierała się, a gdy i na to Leszek zgodzić się nie mógł, nieutulona w płaczu, w trwodze, otoczona niewiastami swemi, dotrwała aż do wyjazdu. Gdy książę wszedł żegnać ją, rzuciła się przed nim na ziemię i sługi ją podnosić musiały, bo powstać nie miała siły.

— Miła moja a najdroższa — odezwał się ściskając rozplakaną i osłabłą — a gdyby nawet w istocie, czego Boże uchowaj, ginąć mi przyszło! Bez woli Najwyższego stać się to nie może, poddać się jej potrzeba. Jeżeli krew moja przelaną być musi aby obrzydzenie mężobójstwa sprawiła i na wieki od niego wstrzymywała...?

Nie dała mu księżna mówić dalej. Leszek choć żałością tą osmucony chwilowo dobrej był myśli, podróż usmiechała mu się — pokój złoty miał być jej owocem.

Nadszedł i Biskup Iwo pocieszać księżną a zapewniać że nad panem wszyscy czuwać będą, błogosławił i modlił się; mimo to gdy rozchodzić się mieli księżną omdlałą sługi na łóżko zaniosły.

Leszek już w pancernej koszuli, z hełmem na głowie, wziął jeszcze małego Bolka na ręce i przycisnął go do piersi, wziął Salomeę, która go zazdroszcząc bratu, za suknię ciągnęła i ucałował oboje.

Tęskno mu było rozstawać się ze swym dworem spokojnym, żoną i dziećmi, lecz trwogi nie miał żadnej.

Po drodze był Wrocław, z kąd książę zabrać z sobą miał już gotowego Henryka i Wrocławskiego Biskupa, chociaż ten raz już z Iwonem Odrowążem o pierwszeństwo hierarchii spór zawiodłszy, w którym Iwo ustąpił — nie zbyt się na zgromadzenie kwapił.

We Wrocławiu oczekiwano na Leszka z licznym dworem... Wyjechał Brodaty przeciw niemu z sercem dobrem i myślą dosyć wesołą. Nie zmieniło jej nawet to że Mszczuja spostrzegł w orszaku, przeciw któremu, choć się jego niewinność okazała jawnie, zawsze ząb miano za nienawiść ku niemcom. — On większy mógł mieć żal przeciw tym co go tak okrutnie męczyli, chociaż niewinności mieli świadectwo. — Trzymał się też na uboczu, do nikogo nie zbliżając, lubo Peregryn z rozkazu książęcego, pozdrowił go i rozmowę rad był zawiązać.

Przez dzień cały który we Wrocławiu przestać musiano, nimby książę Henryk przodem swój obóz wyprawił a Leszek spoczął, Mszczuj na zamku nie postał. Trzymał się gospody w mieście dla części dworu wyznaczonej.

Ze starszyni krakowskiej towarzyszył Leszkowi Marek Wojewoda, który w orszaku swym, choć nie jawnie, syna miał Jaszka, bo ten gwałtem mu się uparł i zaklął że choćby sam do Gąsawy podąży.

Wojewoda z synem zamieszkał u Sulenty, przyjmującego opiekuna swego z wystawą wielką. Sam on, żona, czeladź przybrana była świętecznie, dom kobiercami powyścielany, stół przez cały dzień zastawny.

Wojewoda zmuszony około księcia być, mało z tego korzystał, ale Jaszko, z obozu różnych przyjaciół sprosiwszy, nie zapominając o Nikoszu, kazawszy i drugich przywołać, używał ochoczo darów Sulenty. Wszystkiego było w bród, wesołość wielka.

Trusia wymienicie błaznował a i bez przypomnień przygodzie Mszczuja się nie obeszło.

Za czarownika go tu zawsze miano, dziwując że pobożny pan cierpieć mógł przy sobie.

Popiwszy się przyjaciele Jaszka i on sam, byliby poszli w skoki, starego Sulentę chcąc wciągnąć także, gdyby było im komu grać, ale gęźby nie stało. Wykrzykiwano więc w niebogłosość, korzystając z tego iż dworek kupca daleko był od grodu położony.

— Daj Boże, — odezwał się pół pijany Nikosz, — ażebyście tak wesoło wracali jak jedziecie. Mnie także kazano do tej Gąsawy z końmi, ano mi się tak nie chce, żebym się z tego wykupił.

— Jać wiem czemu, — rozśmiał się Jaszko, — wdowiczki ci twej żal! Wolalbyś przy niej i ciepłem piwku siedzieć spokojnie.

Nikosz się zawstydził i pogniewał trochę, nierad że o wdowie głośno mówiono.

— U pustych wszystko puste, — odezwał się gorąco — a macie wiedzieć że wdowa tak prawie jak zakonnica została...

Gdy Jaszko śmiał się jeszcze, Nikosz z powagą wielką rozpowiadać zaczął, że zakon Maluczkich (Minorytów) który w Krośnie zaprowadzono przyjmował osoby pobożne, żyjące w świecie do swego grona i pozwalał im pozostać w domu, byle pewne modlitwy, posty i umartwienia zachowywały.

Trusia chciał żartować że on się do tej reguły zapisze, byle mu co piątek rybę dawano tłustą, ale pobożny Nikosz uderzył go tak, zgorszony tą języka swawolą, iż błazen na ziemię upadł płacząc.

Łzy wprawdzie były zmyślone, lecz nie ważył się już żartować ani z wdowy ani z jej zakonu.

Jaszko tylko mniej daleko pobożny od wrocławian a zuchwalszy, dodał że wdowa pewnie z tego powodu, umartwiając się w piątki i środy Nikosza nie przyjmowała bo był — tłusty. — Śmiano się i szalano bez miary.

Nikosz ciągle był smutny.

— Mnie też podróż nie pachnie, — mówił — wszystko się jakoś składa na złą wróżbę. Peregrynowi z Weissenburga co jest przy księciu baba wyprorokowała że z drogi nie powróci — i stary się wyspowiadał.

— A i to prawda — mruknął błazen seryo — bo to tego doświadczenie uczy że kto śmiejąc się jedzie, płacząc powraca.

— To tylko dla błaznów prawda! — zawołał Jaszko, — a nie dla nas co się ze wszystkiego śmiejem, a nigdy nie płaczem.

W Gąsawie będzie wesoło! hej! hej! Z Krakowa tam dużo pociągnęło co ja wiem, przekupniów i szynkarzy z beczkami i grajków i kuglarzy i pięknych dziewcząt, co nie miałyby bez nas co robić w mieście...

Trusia nastawił uszu.

— Miłościwy panie — jeżeli tam szynkarze są, i panny, a mięso się znajdzie, i ja bym się tam zdał.

— Ano, idź, jeśli zdążysz, oberwiesz i ty tam co, około panów gdy się im znudzi...

— Oberwać kułaka w bok, albo i kordem przez łeb — mruknął Trusia — nie konieczniem rad, a tam o to będzie łatwiej niż o denary.

I myślę sobie, jeżeli Peregrynowi tam ginąć, co wielki pan jest, cóż dopiero mnie?

— Masz wiedzieć — zawołał Jaszko, — że gdzie biją tam lepiej być w skórze małego człeka...

Trusia śpiewać zaczął i tak się rozmowa skończyła, bo też już języki chodziły jakby chodaki na nie ponakładano.

Nocą nadjechał z zamku Wojewoda i cały zbór synowski z Trusią razem przepędził.

Rano nazajutrz ciągnęli dalej, z większym orszakiem, mszy wprzód wysłuchawszy, przy której książe Henryk pobożnością swą budował wszystkich. Biskup wrocławskijechać nie chciał, opowiadał się chorym. — Archidyakon błogosławił na drogę i wszystkich ten lud ruszył, mając jeszcze spotkać się i połączyć z księciem Konradem, który bratu chciał towarzyszyć.

Tak w ciągu podróży rosło otoczenie Leszka, i siła jego.

Konrad obozem się położywszy w polu czekał na brata, i wyjechał na milę przeciwko niemu ze dworem swym, kapelanami, urzędnikami dworu i orszakiem znacznym, bo mu o to szło aby się w oczach ludzi niemniej okazał od Leszka.

Nie zawsze tam dostawało na występ świetny, ale choć pozór być musiał, aby dumie Konrada dogodził. Mszczuj spojrział tylko gdy się witali na gościńcu, azali z sobą znowu nie prowadził Krzyżaków, nie dostrzegł ich tu jednak, czemu czy rad był czy gniewny, nikt z niego nie poznał. Od niejakiego czasu, gdy na dworze z rozkazu Biskupa znajdować się musiał, z twarzy mu nic wyczytać nie było można. Posępna była, jednaka, zobojętniała i zastygła. Chyba się Niemiec otarł o niego, to drgnął, albo gdy język posłyszał, który go drażnił.

Tu musiał nieustannie odwracać oczy, bo go razila owa niemiecka moda ówczesna, którą i większa część krajowców przyjęła była.

Suknie nie rzadko szyte od razu przywożono z Fryzyi, z Niemiec, a też same weneckie odzieże które w Niemczech noszono przychodziły do Polski. Wyglądała więc część znaczna rycerstwa zbrojnego też w oręż kupowany zagranicą, jakby sama z tamtąd przyszła.

Na Konrada i Henryka dworze, przybłędów z Saksonii, Szwabów, Frankonów i Turryngów było bardzo wielu, a gdy na noc przyszło stawać pod namiotami, i ludzie sobie podpili, pieśni Niemców miłośne rozlegały się dokoła.

Ciurów też za obozem się wlokących moc wielka cudzoziemców była. Jak przepowiadał Jaszko, siła handlarzy rachowała na zborzyszcze znaczne i przydługo trwać mogące, wieziono więc na wozach kupią różną choć nie bez obawy aby ją czeladzie po nocy nie rozrywały...

Niesworna służba panów pozwalała sobie bezkarnie. Mądrzejsi kupczacy brali się na sposoby, płacąc za opiekę obożnym i starszyźnie, która się za nich jak za swoich ujmowała.

I było zaprawdę ciągnięcie to powolne wesołe dosyć, a i urozmaicone, bo codziennie prawie co nowego spotykali. Ówdzie kościół i klasztor na drodze, kędy duchowieństwo wychodząc naprzeciw uroczyscie witalo i nabożeństwo odprawiano. Z klasztornych piwnic wytaczano beczki nietylko dla panów ale i dla służby.



Po miasteczkach rozkładano się w domkach i zbytki dokazywano. We wsiach wręście musiano różnie się obchodzić, wedle tego jakiemu prawu ulegały. Osady niektóre opierały się nic nie dawać tylko za grosz, bo z pod polskiego obyczaju były wyjęte gdy je zapisywano klasztorom i księżom. Drugie za to i owsa i siana dostarczyć musiały, będąc ziemiańskimi majątnościami. Trafiły się i kolonie i osadnicy niemieccy, których osobliwie szanowano, bo ci swoje teutońskie przywileje mieli za sobą.

Bywało że w pustej okolicy, pożywić się a ukryć nie znaleziono gdzie wcale, rozkładały się obozy w polu, na skraju lasu, u rzeki lub jeziora, których dalej a dalej coraz więcej się trafiało, i noc pod namiotami i wozami przechodziła.

W lesie książętom wszędzie było polować wolno, a choćby i księżę były, nie bardzo mimochodem zważano. Czasem się też myśliwi zapędzili za zwierzem że pół dnia spłynęło i na nocleg wyznaczony dociągnąć było trudno. Leszek i Konrad, oba w łowach mieli wielkie upodobanie, a książę Henryk dawniej myśliwy jak inni, przy nich nabierał też ochoty. Grały więc rogi i psy których za wojskiem i dworem szły gromady, wesołem szczeniem serca radowały.

Gdy się raz rozpoczęły gony owe za zwierzem, pamięci na granice i na prawo nikt nie miał, aniby się kto śmiał książętom przeciwzić. Jesień też właśnie była jak stworzona dla nich, pora najlepsza, i mało którego wieczora nie piekły się na ogniach sarnie i jelenie udźce i łopatki, a łosinę w kotłach dla pospolitych ludzi warzono. Na rybach nie zbywało po drodze i na tych co je łowić lubili. W ostatku błogosławiona owa kasza, pierwszy i najzwyczajniejszy pokarm, z ładająką omastą głód zaspokajała.

Ze stogi siana na drodze znikwały tak iż ich właściciele tylko drągi przy których były słane znajdowali — nie nowina to była, gdyż gdziekolwiek konni tłumnie ciągnęły tam się żaden stóg nie ostał.

Stawiano też je opodal od gościńców i od ludzkiego oka.

A choć na szkodników co barcie wydzielali, na tych co bobrowe góry psuli surowe były prawa, książęcy ludzie nie bardzo się na to oglądali, i w tłumie takim sprawcy dochodzić nie było podobna.

Dworom pańskim pod taki czas największa służyła swoboda, woleli też zawsze książęcy ludzie w podróży być i w pochodzie niż siedzieć doma; i myśl wesoła towarzyszyła im od rana do nocy.

Mszczuj tylko na uboczu się trzymał lub przy bracie Biskupie, albo przy księciu. Z tym jednak rzadziej się spotykał, bo panowie jechali zawsze prawie razem z sobą.

Książę Henryk nabożeństwem zarządzał i przypominał je, choć i Leszek opieszalym w niem nie był. Najmniej doń okazywał popędu Konrad, choć na duchownych przy nim nie zbywało. Ci zaś prawie świecką służbę sprawiali.

Już się cały ten tabór zbliżał do celu podróży, gdy jednego dnia przed wieczorem ujrano orszak dosyć znaczny, który zdawał się na jadących książąt oczekiwać.

Na czele jego stał mąż z cienkimi nóżkami na koniu, w którym poznano księcia Władysława starszego. Za nim cały dwór jego w dość rozpierzchłej i nieporządnej gromadzie i odzieży na której widać było ślady wojny, niewczasów i tułaczki; żwawą zajęty był rozprawą jakąś, bo wszyscy rękami wywijali i wrzawa z wykrzykami dochodziła zdala.

Leszek jak dla wszystkich dobrym był i uprzejmym tak dla Laskonogiego, który mu raz stolicy zając nie chciał bez zezwolenia, a potem z niej dobrowolnie ustąpił, okazywał czułość największą. Jak tylko go poznano sam on naprzeciw pospieszył. Ujrawszy to książę Władysław podjechał spiesznie i spotkali się podając sobie ręce.

Leszek za dobre ku sobie serce płacąc — witał prawie ze łzami, Laskonogi, któremu się nie powodziło i w opiece krakowskiego księcia całą miał nadzieję odzyskania swych ciągle najezdżanych posiadłości — nisko się skłaniał przed młodszym krewniakiem i pierwsze słowo które wyrzekł, było.

— Witajcie, dobry mój opiekunie... Już też bez was z ostatniegoby mnie bratanek wygnął. Widzicie, prawie tułaczem jestem... On i szwagier jego naposiedli się na mnie...

Ręką wskazał na niewielki dwór swój.

— Ludzi mało co przy mnie zostało! Ziemianie poszli za szczęściem, do Odonicza! Ratuj jakieś miłosierny!

— Bądźcie dobrej myśli, — odparł, — po to jedziemy do Gąsawy aby wasz spór z Odoniczem, a mój ze Świątopelkiem zakończyć zgodą — Bóg łaskaw, zrobimy ją!

Laskonogi się uśmiechnął, a że drudzy książęta nadjeżdżali, zbliżył się naprzód pokłonem witając księcia Henryka, który mu głowę skłonił, potem Konrada. Ten ledwie dał znak iż go poznał, popatrzył na mały i liche orszak, na bladą i zmęczoną twarz Władysława i milczał.

Leszek który jechał przy Henryku, z drugiej strony dał przy sobie miejsce Laskonogiemu. Orszak jego z tyłu zajechawszy połączył się ze Ślązakami, Krakowianami i Mazurami.

— Czas było — począł Laskonogi, — abyście ład wprowadzili, wy i duchowni — bo naprzódby mnie wygnali precz a potem... poszliby na was...

— E! — zdala wtrącił Konrad — nie gniewajcie się za to co powiem, — dużoście sami winni. Odoniczowi zrazu potrzeba było dać część jego, byłby siedział na niej spokojnie.

— Mylicie się w tem, — odparł Laskonogi powoli i obojętnie, — jemu nigdy dosyć. — Krew w nim ojcowska, wszakci tamten przeciw rodzonemu naszemu się stawiał i z nim chciał wojnę prowadzić!

Mógłby poczekać, bom ja nie długowieczny, a syn księdzem, zabrałby i tak wszystko...

Ks. Henryk poruszył głowę.

— Dziw to, Władysławie mój — odezwał się — syna oblekliście w sukienkę duchowną, a sami sobie naraziliście księży! Z tego wszystkie nieszczęścia wasze — wierzcie mi. Z kościołem walka trudna!

— Ja nie walczę z nim — rzekł Władysław — ale on ze mną, wszystko mi krzyżują, w niczem pomagać nie chcą, muszę się bronić, bo bym inaczej przepadł!

— Niewiem kto z was winien — dokończył książę Henryk — a to pewna, że się duchowieństwo żali na ciebie. Odonicza byś zmógł, gdyby nie ono.

Poprawił hełmu książę Władysław, i nie mogli ciągnąć o tem dłużej rozprawy, bo dano znać że arcybiskup gnieźnieński Wojciech się zbliżał...

Poruszyli się wszyscy na tę wiadomość, przygotowując do przyjęcia go jako naczelnika kościoła i rzeczywiście naówczas najpotężniejszego władzcę.

Żaden z książąt pojedynczo nie miał tej, co on siły, wszyscy oni razem nawet nie mogli mu sprostać. Pominąwszy to że w dłoni pioruny anathemy dzierżał, był głową biskupów, był całego po wszystkich ziemiach duchowieństwa najwyższym pasterzem. — Wprawdzie nowe zakony jak reguła Dominika i Franciszka, starały się o to, aby niezależały od biskupów a zwierzchność swą miały w Rzymie, pasterze jednak pośredni wpływ mieli i na nich wielki i nie mógł żaden zakon sprzeniewierzyć się ogólnej sprawie kościoła.

Arcybiskup gnieźnieński w chwili, gdy króla jednego wszystkim tym ziemiom brakło, był istotnym ich i jedynym zwierzchnikiem, władza duchowna jedyną ich spójnią. Książęta musieli się korzyć przed nią, choć jak Laskonogi i Konrad czuli że ona ograniczała ich moc i uszczuplała samowolę.

Gdy się wspaniała orszak ukazał, i wóz szkarłatem okryty z baldachymem takimże nad nim, u którego złocisty krzyżek świecił, a przed nim krucyfer na koniu wiozący ciężki krzyż srebrny, dalej dwór i rycerstwo arcybiskupie i znaczny poczet duchownych, książęta posiadali z koni, pozdejnowali hełmy, i stanęli wszyscy oczekując na starca...

Sparty na lasce wysokiej z rękojeścią z kości słoniowej, — jechał siwy, poważny Wincenty z domu Nałęczów, okryty płaszczem z fioletowego bławatu podszytym sobolami, w czapce która książęcych kształt miała. Dwaj klerycy szli pieszo po bokach wozu, który konie pokryte oponami sukienkami ciągnęły.

Ujrawszy książąt, zwrócił się ku nim starzec i ręką na której pierścień biskupi wiadać było, złożoną do błogosławieństwa, począł zdala żegnać ich krzyżem, uśmiechając się łagodnie.

Zatrzymał się wóz szkarłatny, stanęli jezdni, Leszek pierwszy przyszedł rękę arcybiskupa ucałować. Cisnął się za nim Henryk, choć do zwierzchnictwa stolicy gnieźnieńskiej nie należał, dalej szli Laskonogi i Konrad.

Na obliczu arcybiskupa można było rozpoznać jaki go z niemi łączył stosunek. Po ojcowsku witał Leszka, z poszanowaniem Henryka, zimno i niemal surowo Laskonogiego z którym byli w nieustannych sporach — obojętnie Konrada.

Z biskupem Iwonem uściskali się jak bracia i jak równi, chociaż Iwo chciał w nim poszanować starszeństwo jego kościoła. Między Krakowem a Gniezmem, acz niebyło walki żadnej, obie stolice o znaczenie swe i wpływy zazdrośne były. Rosła powaga Krakowa, nie chciało jej ustąpić metropolitalnego swego majestatu Gniezno.

Okolo głowy swej znaleźli się tu już wszyscy pasterze, Paweł Grzymalita poznański, wiekiem najmłodszy, Jan Gozdawa płocki, Michał Kujawski; wszyscy polacy i dzieci tych ziem, których dusze mieli w opiece.

Miejsce w którym spoczywać miano, nimby się do Gąsawy nadażyło, było niedaleko — przy jadącym więc wolno arcybiskupie, posiadawszy na konie księżęta jechali pomnażając orszak jego i dając mu przodować.

W istocie, starzec ten nawet dla nieświadomych dostojności jaką piastował, wydawał się tu panem i władczą, z księżętą obchodził się jak z dziećmi swemi, chyliły się przed nim wszystkich czoła, była to jedyna potęga, której nikt sprzeciwić się, nikt nie mógł poważyc jej nieuznać.

Przed wielkim namiotem Leszka, który już rozbity czekał pod lasem, wysiadł arcybiskup Wincenty, którego wiedli dwaj młodszy biskupi, Iwo, potem księżęta. Ponieważ pora była chłodna, w namiocie ułożone było ognisko pod dymnikiem, ziemia usłana futrami i stoły zastawione znaleźli. Dano miejsca pierwsze duchownym, przy nich zasiedli księżęta, dalej urzędnicy ich, a czeladź posługiwała. W innych szalasach żywiło się rycerstwo swobodnie, a gmin przy prostych ogniskach. Podróżny ten obóz wyglądał okazale i malowniczo, ocieniony starymi sosnami, których zielone gałęzie wysoki nad nim dach sklepiły.

Obecność starego metropolity, nie dozwalała zbyt swobodnej i wesołej rozmowy, wszyscy też mieli na myśli sprawy ważne.

Arcybiskup pierwszy spytał Leszka, czy Władysław młodszy, Odonicz, przybędzie do Gąsawy i co słyhać o Światopełku.

— Mówią — rzekł krakowski księżę — iż Odonicz razem z nami stawić się ma, ten zaś zapewne da sprawę o szwagrze swym, o którym nic pewnego nie wiemy.

— Myślę — przerwał ks. Konrad — że i Światopełk rozważywszy lepiej swą korzyść własną, na zjazd się stawi.

Marek wojewoda który też się tu znajdował, ozwał się.

— Niewątpliwie przybędzie, choć mówią, że się sierdzi, w obawie będąc aby mu siłą Nakła nie odebrano. Bliskość miejsca budzi w nim podejrzenie iż najprzód o twierdzę się księżę pokusi.

— Jeżeli się opóźni z posłuszeństwem i należną pokorą — rzekł arcybiskup — nicby dziwnego nie było, by księżę sobie sam sprawiedliwość domierzył. Powinien pospieszać tembardziej.

Księżę Konrad spojrział dokoła i usta zagryzł, Laskonogi powiódł ręką, potrząsł głową i zamruczał.

— O! ze Światopełkiem nie łatwo będzie! On ci to wszystkiego sprawcą. Czuje się winnym i dla tego przed sąd stanąć nie rażno mu.

— Sąd?? — zapytał Konrad dwuznacznie.

— Sądem by to można zwać — rzekł arcybiskup. — Światopełk bowiem podwładnym Leszka jest i zawinił wiele, a my mamy moc sądzić go i karę domierzyć.

Zamilczeli wszyscy. Laskonogi chleb łamał, zadumawszy się.

— Bądź co bądź — rzekł — łagodnie z nim obchodzić się trzeba, aby dzikiego zwierza nie drażnić. Gwałtowny jest i gniew go zaślepia...

— Nie myślemy też — wtrącił Leszek — zażywać ani groźb, ani postrachów póki jest nadzieja przejednania.

— Zobaczemy co od niego Odonicz przyniesie — rzekł Laskonogi — i czy stawić się będzie.

Jeden z rycerzy stojących opodał w namiocie odezwał się półgłosem.

— Z Gąsawy przybyły komornik tylko co, opowiada iż ludzie i wozy Odoniczowe już tam przyciągnęły, i on więc niewątpliwie będzie.

Zwrócił się wzrok na mówiącego, potem wszyscy spojrzeli po sobie.

— Dobra wieść, dobra wróżba! — rzekł arcybiskup.

Gdy pod wielkim namiotem jeszcze wypoczywała starszyzna, w obozie samym, szczególnie opodal nieco od niego, wesoło zabawiała się drużyna panów, zapoznając z sobą, przypominając, schodząc w kupki, obsiadając kociołki, garnki i beczki przy których stali dozorczy, rozdając konwie piwa, i dzbanki miodu.

Marek wojewoda z innemi panami wysunął się wkrótce z pod książęcego namiotu, i jakby szukał kogo, poszedł stanowiska krakowian dopatrzyć, które opodal nieco, przy arcybiskupiem wyznaczone było. Wszedłszy tu, po głosie bardzo podniesionym, i śmiechu szerokim, łatwo trafił do syna. Znał go dobrze z tego, iż doń zawsze wesołe towarzystwo przylegało. W istocie i tu Jaszko sobie w drodze dobrał po swej myśli mazurów, szlązaków i niemców, z którymi ucztował bardzo wesoło.

Zdała skinął nań ojciec, ale go nierychło dojrzał Jaszko i musiał nań huknąć, aby do siebie przywołać.

Wstał Jaksza z wojsłoków na których mu wygodnie pół siedzieć, pół leżeć było, i podszedł do ojca, który go na stronę odprowadził.

— Dałbyś ty temu ucztowaniu pokój — odezwał się stary marszcząc — nie pora na to. W Gąsawie już Odoniczowi ludzie są, jak słyszę, potrzeba by ci tam pospieszyć, a ostrzedz Władysława, żeby z butą nie występował.

Pokornym niech będzie na czas, aby nie wywołał gniewu i nie obudził za rychło...

Na Światopełka wszyscy i duchowni zażaleni. Mało trzeba by nie wskazali na Nakło i nie popsuli wszystkiego...

Odoniczowi trzeba powiedzieć, aby się kłaniał, a Światopełka obiecywał. Na spóźnienie łatwa wymówka, córka lub syn chory.

Skinął na słuchającego Jaszka, któremu z twarzy widać było, że nie bardzo od swej gromadki chciał odjechać.

Nim miał czas się wymawiać, wojewoda postrzegłszy starego ochmistrza nadchodzącego — dodał żywo.

— Jedź ty mi zaraz z ludźmi przodem, abys dla mnie schronienie opatrzył i zapewnił. Stare kości go potrzebują. Jedź! jedź!

Przy obcym się już syn wymawiać nie mógł, zmarszczył się tylko, za ucho poskrobał i na pachółka zawołał.

— Konia mi siodłać!

Drudzy posłyszawszy to, sądzili że wszystkim dano hasło wyruszać, poczęli się zrywać do koni.

— Leżcie szczęśliwi! — zawołał Jaszko — macie czas jeszcze zęby popłukać, mnie tylko pan ojciec przodem śle...

Trafiło się że i Mszczujowi też przodem jechać potrzeba było, dla pańskiej sprawy. Ujrzawszy to Marek iż i on konie dawać kazał, namarszczył się kwaśny.

— Co tak spieszycie? — zapytał.

My starzy mamy prawo spoczywać. Macie co powiedzcie mojemu posłańcowi, a sami zażyjcie wczasu.

— Wszystko jedno! — mruknął Waligóra — wszak ci w Gąsawie będzie czas się wyleżeć.

Podejrzliwym okiem popatrzał nań wojewoda i umilkł. Jaszko zwolna tak od towarzyszy do konia szedł, że się dał nawet Mszczujowi uprzedzić...

Marek zbliżył się do siedzącego na koniu i Mszczuja już jadącego mu wskazał.

— Miejsze rozum — szepnął — nie szukaj jawnie rozmowy z Odoniczem, bo ten stary ma dwoje oczów, które widzą i po nocy, a to wróg nasz... Nie darmo tak spieszy...

Jaszko pochylił się ku ojcu.

— Zbędziemy się i tego! — rzekł wesoło — za jednym razem!

Rękę podniósł do góry, na konia cmoknął, towarzyszyów pozdrowił i pędem puścił się w stronę Gąsawy.

W godzinę dobrą po nich dopiero z obozu panowie ruszać się zaczęli, po odprawionych modlitwach, którymi arcybiskup chciał wyjazd poprzedzić.

## VII

Znikła Gąsawa, osada niewielka wówczas wśród obozów, szop, stajen, szałasów i namiotów, które się w koło niej rozłożyły.

Na kilka dni przed św. Marcinem już tu gwarno było jak na targowisku i ci co się zabierali korzystać z wielkiego zbiegu tyłu dworów, zawczasu się pomieścili po różnych kątach.

Nad skleconemi na prędcie szałasami gdzieś zielone wiechy szynków widać już było, indziej rozmaite znaki. W kilku kuźniach na pól w ziemi pracowały miechy, w innych kociołki parzyły się ze strawą, około której stare baby się uwijały. Niemcy porozkładali swe kramiki, porozwieszali płachty różnobarwne; kaftany gotowe, nawet kawalki zbroi i noże zapaśne, jakich używano.

Szewc z Saksonji wystawił buty owe z nosami, które były oznaką wytworności i zamowności... Włoch rozwiesił błyskotki i fraszki. Nieuchronna przy obozie gawiedz płci obojga, kuglarze, blazny, dziewczęta z kwiatkami na głowach, fartuchami podkasanemi i nożykami u pasa, zawodziły półgłosem piosenki, trzymając się nieco zdala.

Namioty i budynki mające książąt pomieścić, otaczały rodzaj rynku do koła. Przed każdym z nich stały drągi wysokie na których chorągwie zawieszono być miały. Z tyłu za nimi wielkim kołem podzielonem na części, które średnim budynkom odpowiadały, szły obozy każdego z panów tak, że swych ludzi tuż za sobą mieli.

W pośrodku na placu wyładowywano wozy, przeprowadzano konie, starsi z laskami białemi utrzymywali porządek. Z trudnością to przychodziło, bo we zbiorowisku takim ludzie nieustannie to o miejsce, to o żywność, to po pijanemu o nic się spierali.

Około dworu Leszkowego, nieopodal wspólna dla wszystkich wystawiona była łaźnia, z której dachu noc i dzień wychodził dym i para się dobywała. Wielkie kamienie nagromadzone około olbrzymiego ogniska, musiano ciągle do czerwoności rozpalać i wodę na nie lać, aby każdego czasu można się było parzyć. Ławy w niej szły do koła ogniska aż do szczytu, ogromne stosy winników, sukien i płótna, leżały na dolnych dylach i ludzie nadzy do pól ciągle do posługi byli gotowi...

Dla pospolitego ludu łaźnie były mniejsze opodal.

Przy pańskim budynku niewytwornym, na mech skleconym, a dranicami pokrytym, długa szopa słupami wewnątrz podparta, przeznaczona była na wspólne uczyty i narady. Tu się i paręset ludzi pomieścić mogło.

Pomiędzy książęcym dworem, a domem arcybiskupim obszernym, bo się tam niemal całe duchowieństwo, oprócz kapelanów miało mieścić, nieco wyższy drewniany, szczupły budynek na kaplicę był przeznaczony, gdyż kościoła we wsi nie było. Drewniany krzyżyk na dachu odróżniał go tylko od innych...

Rynek ten choć nie wytwornie, ale dosyć chędogo wyglądał, dwory były ze świeżo ściętego drzewa powznoszone czysto i zręcznie. Tu i owdzie nawet słupki pozaciosywano foremnie, a przy dachach powycinano małe ozdoby. Okienka niewielkie, miały z wewnątrz zasuwę, a dla ciepła i sukienne zasłony. Podłogi nie wszędzie wypieszono, zastępowały je klepiska jedliną i słomą pokryte.

Listopadowy chłód zmuszał już ogrzewać się wszędzie, zawczasu więc dnia tego obłoki dymu się unosiły nad obozowiskiem, i wiatr je jak chmurę unosił powoli ku lasom, które zewsząd widnokrąg zamykały.

Stały do koła placu dwory książęce, arcybiskupi, łaźnie, izbice, komory powyznaczane zawczasu tak, aby każdy miał osobne schronienie. Więc i dla Światopełka domostwo było przy Odoniczowem — ale te dotąd pustką stało.

Około chaty Plwacza garść się już ludzi związała, gdy Jaszko przybył nad wieczór. Mógł się tu zbliżyć nie obudzając podejrzeń, bo Mszczuj wcześniej przyjechawszy, Leszkowe komory oglądał i dla pana przysposabiał przyjęcie.

Z tym jednak dworem Plwacza jaki tu zastał Jaszko, nie bardzo się mógł rozmówić. Kupka czeladzi, której komornik jeden zbrojny dobrze ale do pośledniejszej należącej drużyny przewodził, trzymała się tchórzliwie i na uboczu. Na tego, gdy Jaska zawołał i spojrział, widział od razu iż mu się zwierzać nie mógł.

— Kiedyż książę Władysław tu będzie? — zapytał.

Zbrojny człek zająknął się, pomyślał, splunął, kołpaka poprawił, spojrzął na pytającego i nierychło wycedził:

— Albo ja to wiem?

— A cóż wam przykazano? — pytał Jaksa.

— Co? — odparł komornik. — Kazano jechać zająć gospody i stać. Więcej nic.

— Więc księżę rychło nadciągnie?

— Nie wiem — rzekł człek.

— Gdzieżeście go zostawili? — pytał Jaksa.

Pomyślawszy, zamruczał spytany.

— A w polu?

— Daleko ztąd?

Znowu się zadumał komornik.

— W ciągnieniu? — krzyknął Jaksa.

Kiwnął głową spytany.

— Tu ciągnie?...

Czekał chwilę na odpowiedź.

— Albo tu, albo nie tu — wybąknął tem badaniem niecierpliwicy się człek do dawania odpowiedzi nie przygotowany...

To rzekłszy i uznając zapewne że obowiązku odpowiadania nie miał, a bezpieczniej było od pytań się schronić, wszedł spokojnie do budynku drzwi za sobą zamykając znacząco.

Gawiedz która była świadkiem rozmowy, gęby sobie zaczęła zatykać, aby się nie śmiać z tego jak zręcznie ich starszy natręta odprawił.

Jaksa klnąc po cichu, został jeszcze chwilę na koniu przed domem, podumał i w końcu zawracać musiał. Nie miał tu co robić. Skorzystał więc z wolnego czasu, aby się rozpatrzeć i nim panowie nadjadą cokolwiek rozgościć.

Obszedł płacyk do koła, konia wodząc za sobą, tu i owdzie spytał włóczących się gdzie dla kogo naznaczona była gospoda. O Leszkową nie potrzebował się dowiadywać, bo ta znaczną była.

Gdy tak błędził a ziewał Jaksa, dosyć odarty człek w kożuszku krótkim z pomiędzy dwu budynków się wysunął i zaczął mu przypatrywać.

Jaksa byłby przysiągł, że go naówczas gdy z Płocka do Uścia jechali ze Światopełkiem, widział w jego orszaku i przy jego boku. Człek był do poznania łatwy i po tem, że w czarnej brodzie gęstej miał głęboki szram od cięcia jakiegoś na którym mu włosy nie rosły. Ręką wprawdzie zagarniał go ciągle niespokojny, lecz Jaszko już go był dostrzegł i prawie pewien był, iż jednego ze Światopełkowych, najbliższych dworaków miał przed sobą.

Przypomniał nawet sobie, iż go pomorski księżę wołał po nazwisku Inwara. Wlepił w niego oczy tak ostro, iż poznany człek chciał zaraz skryć się między dwie ścianki zkąd wyszedł, lecz Jaksa mu nie dając uskokczyć, ręką pochwycił za ramię — i szepnął.

— Inwar!

Drgnął poznany ów, a wpatrzywszy się lepiej w Jaszka dopiero nabrał odwagi.

— Łaziebny, łaziebny Supel, nie żaden Inwar... począł mruzczyć.

Ludzie stojący na placu patrzali, Jaszko więc krzyknął nań, aby mu konia trzymał i o łaźnię począł pytać. Tymczasem się oczyma porozumiewali.

Zażądał zajrzeć do łaźni.

Konia przywiązano do drąga, który tam był wbity na słupach umyślnie i weszli do niej razem.

Ognisko już gorzało straszne pośród głazów, pary pod dachem pełny był budynek...

Łaziebnicy inni uwijali się opodal. Poczęli szeptać i rozmawiać prędko, Jaksa dał mu znak i weselszy z łaźni wyszedł nazad.

Co chwila już można się było przybycia książąt spodziewać. Robiło się ciemno, ale do koła były poustawiane beczki smolne, które gorzeć miały dopóki by się ludzie nie rozmieścili.

O mroku zapalono je, a w tem też i głosy zdala, rzenie i tentent koni, — pokrzyki i trąbki oznajmiły przyjeżdżających.

Próżniaczy tłum zbiegł się patrzeć, cisnąc po za budowlami i między niemi. Jaksa skrył się do dworów dla Leszka przeznaczonych...

W kapliczce zapalone światła, otwarte drzwi do niej naprzód wzywały, jakoż arcybiskup, duchowieństwo, książęta, skupili się tu naprzód wszyscy i z koni zsiadać zaczęli.

Wchodzili z kolei, gdy Leszek w progu potknąwszy się padł tak, iż ledwie go idący tuż książę Henryk podtrzymał aby nie legł na ziemi. Uderzył się twarzą o uszak drzwi i krwią splunął, lecz wprędce podniósłszy się i niedając nic poznać po sobie, choć blady i strwożony, pospieszył uśmiechając się ku ołtarzowi.

Wszystko to trwało zaledwie okamgnienie, zdawało się nawet, że nikt oprócz ks. Henryka nie dojrzał tego upadku — Konrad tylko zmierzył oczyma brata, ale nic nie rzekł.

Kapłani stojący przy ołtarzu, pieśń do Ducha Świętego, dobrej rady nucili.

Po krótkim tem nabożeństwie i pobłogosławieniu przez arcybiskupa, który święconą wodą przytomnych pokropił, wszyscy pospiesznie rozchodzić się zaczęli i gwar rozdzielił na wsze strony...

W wielkiej izbie zastawiono jadło i przyjęcie dla gości, po budynkach kręcili się ludzie ze światłem, wyładowywano wozy, wiązano konie, kijmi zaprowadzano porządek, a na wysokie drągi pozaciągano chorągwie i Leszkowa z jeźdźcem a niedźwiedziem, zaszumiała nad dachem dworca.

Wysłany na zwiady Mszczuj, przyniósł panu wiadomość iż Plwacza jeszcze nie było i ludzie jego nie wiedzieli, kiedy się go miano spodziewać.

Nazajutrz już obóz wydawał się jakby stanął od dawna, rozpatrzyli się wszyscy i przewidując że tu dość czasu stać będą, rozgospodarowywali się wygodniej.

Bez Odonicza i Światopełka nic poczynać nie było można, czekano więc na nich. Lecz dzień ten upłynął cały, a o Plwacu nie przysły wieści żadne, śląc po niego posła było próżno, bo czeladź nie umiała powiedzieć gdzie się znajdował.

Drugiego dopiero dnia po nabożeństwie, dano znać księciu, który u Iwona biskupa siedział, że w polu się ukazał oddział rycerski, który pewnie Odonicza prowadził. Nie uchodziło ani wychodzić przeciw niemu, ni okazywać, że go tak bardzo tęskno oczekiwano. Na dany znak tylko ludzie rycerscy około dworu stanęli zbrojni, a książę u siebie pozostał.

Orszak który postrzeżono zdala, zbliżał się zwolna bardzo, i nierychło począł wsuwać się pomiędzy budynki ku placykowi. Plwacz dbał o to, aby nie pośledniej wystąpił od innych. Na ludziach jego widać było że im pomorscy kupcy broni dostarczyli i sukni, po których łatwo poznawano naówczas z kąd kto co wziął i z kim trzymał.

Plwacz sam odziany w zbroję, w hełmie z piórkiem, na koniu okrytym luskową oponą, strojny w pas złocisty, w łańcuchy i świcidla, w bok się trzymając, ale blady i pomięszany podjechał pod dwór Leszkowy.

Zsiadł oglądając się podejrzliwie, a gdy mu wskazano wnijście, powoli iść zaczął hełmu nie zdejmując aż w progu. Za nim też szli, kapelan Arnold i dwóch bogato odzianych, Konrad z Górek i Olech ze Swidnej pułkodowódzcy jego, piękni ludzie z wielką butą.

Dla gwałtownego człowieka jakim był Plwacz, utrzymanie się w mierze i spokoju, było trudnem, drgał więc i pluł ciągle, usiłując się do pokory zmusić.

Leszek stał, oczekując nań przy siedzącym arcybiskupie, po za niemi dwór, w głębi Konrad, który naprzód nie chciał wystąpić. Milczenie panowało przykre dla tego, co je pierwszy miał przerwać.

Dosyć pokornie skłonił się Plwacz, oczyma zaraz powiódłszy, czy w gromadzie naprzeciw siebie stryja i nieprzyjaciela Laskonogiego nie zobaczy.

Nie było go tu, bo się nie spieszył zetknąć z tym bratankiem z którym zaciętą wiodł walkę. Plwaczowi też lżej się zrobiło, gdy go nie znalazł i począł witać Leszka.

— Otom jest i stawię się na zawołanie — rzekł — wam i ojcom naszym duchownym zawsze chętnie posłuszny...

Leszek skłonny do widzenia wszystkiego dobrem, a łagodzenia każdego zajścia, ruszył się zaraz ścisnąć go, co z pewnem wahaniem przyjął Plwacz.

Czuł, że nie był tej uprzejmości godnym.

Jakby dla zaochocenia do swobodniejszej rozmowy, przemówił biskup Iwo, zagał coś obojętnego Leszek, inni mięsząc się poczęli, podszedł i Konrad. Dano znak Plwaczowi aby siadł na ławie, co on nie bez wahania spełnił zmuszony, bo siedzieć ani lubił, ani

umiał, a potrzebował być ciągle w ruchu. Oczy jego biegały też niespokojne po twarzach i plucie nałogowe nie ustawało, choć się z niem odwracał to w tę, to w drugą stronę.

Leszka twarz jaśniała radością. Przybycie Odonicza było połową zwycięstwa.

Odwiódł go do bocznej komory, ręką objąwszy i okazując uprzejmość wielką.

— Dobrze żeś ty przybył, boć wiesz — rzekł, iż wam obu dobrze życzę i z Władysławem starszym pojednać pragnę.

Plwacz zzymnął się i potrząsł rękami, chcąc ukazać jak mało w to ma wiary.

— Pojednać się musicie — ciągnął dalej ks. krakowski — ale i moja sprawa ze szwagrem twym musi się rozstrzygnąć. Postąpił sobie nie jako podwładny mój, lecz jako wróg.

Plwacz zaprzeczył mrużeniem.

— Wszystkobyśmy wybaczył, ale Nakło!

Ruszył ramionami Odonicz i szybko wtrącił ręce rozkładając szeroko.

— Nakło! Nakło! do Pomorza zawsze należało! należało!

— Krzywousty je zawojował dawno i odjął mu, musi mojem być. Nie da po dobrej woli, wezmę siłą.

Plwacz zaczerwienił się mocno i dwa razy splunął, zająknął się, nie chciał odpowiedzieć.

— Rychło przybędzie Światopełk? — spytał Leszek.

Plucie powtórzyło się jeszcze, i nim odpowiedź wyjąknął Odonicz otarł brodę i wąsy, a musiał z trudnością dobywać głosu.

— Nie wiem — rzekł — przybędzie... ale kiedy? dadzą znać, ja go dawno nie widziałem.

Popatrzał nań Leszek zdumiony.

— Któż będzie wiedział, jeżeli wy nie umiecie powiedzieć?

— Trzeba ślać — zapytać?

Zaciął się nieco. Światopełk boi się... Doniesiono mu, że na niego wszystek gniew, że dlań przebaczenia nie ma — cóż? lęka się?

I Odonicz nie mogąc w miejscu ustać spokojnie, począł przed Leszkiem chodzić, szukając kątów do plwania... Zmieszany był, nie podnosił oczu...

— Władysławie — odezwał się Leszek, wpatrując w niego. — Lepiej wy od Światopełka znać mnie powinniście, wiecie żeś prędeż do przebaczenia skłonny, niż do potępienia. Światopełk nie ma się tu lękać czego, a gdy się nie stawi, więcej obawiać się może... Ślijcie wy od siebie do niego, aby nas tu próżno nie trzymał.

— Ja? ja? — opierając się zawołał Plwacz — ja? nie! — wy — poślijcie, macie prawo...

— Mówiliście, że obiecał przybyć? — zagaił po krótkim milczeniu Leszek.

— Sądzę — sądzą! pewnie! Przybędzie choć się lęka — rzekł pospiesznie Plwacz. — Przyjedzie choć się waha — stanie.

Spuścił oczy i głowę i potwierdził raz jeszcze.

— Przyjedzie pewnie. Cóż ma czynić — jeden przeciw wszystkim...

Książę uspokojony tem, zamilkł.

Z ciasnej komory, w której było posłanie Leszkowe, wyszli znowu do izby, między zgromadzonych książąt i biskupów.

Ci na Plwacza z niedowierzaniem jakimś spoglądali i ciekawością, on zaś czując te kolące go wzroki, wił się niespokojny pod niemi. Każde głośniejsze odezwanie się drażniło go i głowę odwracał nasłuchując. Czuł się tu obcym wśród nieprzyjaciół, tylko ku Konradowi nieśmiało ukradkiem niekiedy spozierał, ale ten wejrzenia jego unikał.

Biskup Iwo baczniej patrzący na ludzi i czujący darem bożym co się w ich duszy działo, ze znalezienia się Plwacza źle wnioskował, choć Leszek był mu rad nad miarę i ze szczególną czułością starał się go ośmielić. Nieodpowiadając na to równą uprzejmością, Plwacz chodził jak wilk, wzrok ciągle spuszczał, mrużąc i uchylając się od krakowskiego księcia.

Na drzwi spoglądał ciągle, bojąc się aby nie wszedł Laskonogi, który też nie bardzo do tego synowca nieprzejednanego chciał spieszyć.

Ponieważ rokowań żadnych dnia tego nie było, rozeszli się wszyscy po izbach swoich i po kątach...



Z Trzemeszna przybyli Cystersi do arcybiskupa i do księcia z żalami, prośbami i podarkami zajęli popołudniowy czas niemal cały.

Plwacz nie pokazał się już dnia tego, zmęczeniem wymawiając. Późno w noc od tyłu wszedł do niego Jaszko.

Odonicz leżący i drzemiący na posłaniu uląkł się gdy posłyszał nadchodzącego obcego czлека, którego mu oznajmiło pachole — obawiał się, niewiedział czego, posadzając o zdradę, gdyż sam w sercu ją miał.

Jaszka sobie nie zaraz przypomniał, musiał mu powiedzieć gdzie i kiedy go widział, z kim w Uściu się znajdował. Dopiero Plwacz ochłonął. Wszakże jeszcze był niedowierzającym.

— Jam prawie życie ważył — odezwał się Jaszko cicho — chcąc się do was dostać. Ojciec mój Marek Jaks wojewoda, sam nie może, posłał mnie.

— Z czymże? z czym? — plując i rzucając się zapytał Odonicz.

— Przestrzega ojciec aby Leszka nie gniewać, do czasu pokorę grać i Światopelka obiecywać... aby się go spodziewano. Inaczej pójdą na Nakło. Wszystko przepadnie!

Bystro popatrzał nań Władysław, zaciął usta.

— No, no — rzekł nadąsany — wiem ci ja co poczynać mam, nauk od nikogo nie potrzebuję. Powiedz ojcu niech będzie spokojny. Wy zaś, kiedy się o szyję boicie, nie chodźcie do mnie.

Ostro przyjęty Jaszko pogniewał się, za czapkę chwyciwszy, szparko się rzucił ku drzwiom okazując Plwaczowi że go obraził, lecz ksiązę się pomiarkował i zawołał.

— Słyszysz! co mówią tam u Leszka?

Choć nie z wielką ochotą Jaszko się zwrócił.

— Wasza miłość jeżeli nas nie potrzebujesz...

Plwacz zniecierpliwiony podszedł i chwycił go za opończę.

— Czego potrzebuję o to pytam! — zawołał groźno. — Co tam z waszych rad wypadło? O czym tam u Leszka duchowni i świeccy radzą? To mi mów, to ja wiedzieć chcę.

— Teraz już o Światopelku tylko mówią — odparł Jaks — bo was pewni, jakby w garści mieli.

Plwacz wykrzywił usta i śmiać się zaczął.

— Czekają na Światopelka? — zapytał.

— Dotąd jeszcze nie tracą nadziei — zamruczał Jaks.

Odonicz przeszedł się po izbie, a że psy w niej mu na drodze leżały, jednego i drugiego uderzył tak że ze skomleniem precz poszły.

— Długo oni tak czekać mogą? — zawołał stając. — To mi wiedzieć potrzeba, to, nic więcej, można ich trzymać jeszcze dni kilka, żeby na Nakło nie szli.

— No — kilka dni! kilka dni! — odezwał się powolnie Jaks — ale zwlekać nie można.

Leszek i sam Nakło chce odebrać koniecznie i drudzy go do tego namawiają.

— A o ciągnięciu na Nakło nie słycać jeszcze? — dodał Plwacz.

— Dotąd nie, bo w Światopelka wierzą iż przybędzie — rzekł Jaszko.

— A jakże! przybędzie! o! pewnie, będą go tu mieli! będą! nie zawiedzie! za to i przysiądz gotowym.

I śmiać się począł, zęby czarne pokazując.

— Gotuje się z wielkim dworem, jak mi żona i dzieci miłe — mówił Odonicz sztydersko. — Przybędzie, ino trochę cierpliwości...

Jaszko zbliżył się ostrożnie do Plwacza i począł mu szeptać do ucha.

— A i chwilę w odwiedziny trzeba taką wybierać jak należy, albo w pierwospy, lub na zaraniu... bo straży jest dosyć, jak się to po obozie rozsypie, nim się zbierze i trwogę poczuje, będzie czas...

Mrugnął, jedno przymrużając oko.

Odonicz głową obojętnie poruszył uśmiechając się, i ręką dał znak, że słuchać dłużej nie potrzebuje, bo sam wie co czynić.

— Byle się na Nakło nie wybrali przed czasem — zamknął. — Tego pilnować. Niech czekają...

Poszeptali coś jeszcze i Jaksę się wymknął, a Odonicz wypluwszy się, znowu na łóżko padł, przykazując wprzód swoim ludziom, aby koło dworu czuwali. Niedowierzał tak, że zbroję koło siebie tuż i miecz postawił, a sukni na noc nie zrzucił.

Laskonogi też w trwodze u siebie zamknięty siedział, naglącać przykazując i ludzi nie puszczając od siebie.

Leszek zaś zawsze ufny i dobrej wiary, pieczy około swojego bezpieczeństwa miał jak najmniej. Straże które Mszczuj stawiał do koła dworu, książę rozpuszczał, rycerstwo krakowskie porozdzielwane leżało pod namiotami, zabawiając się, bo już i gęślarzy i błaznów i kuglarzy było coraz więcej z dniem każdym. Śpiewano i swawolono swobodnie, z czego książę się cieszył, nie pozwalając im psuć dobrej myśli, bo rad twarze wesole widział w koło siebie.

Drugiego dnia rano, po nocnej burzy, gdyż wichur wielki szalał od północy aż do dnia, gdy książęta do kaplicy szli, w której arcybiskup cichą mszę miał odprawiać; Konrad obejrawszy się po niebie, bo chciał o pogodzie wróżyć, postrzegł pierwszy, iż chorągiew Leszkowa, która przed dworem stała, niewiadomo od wiatru, czy od złośliwej ręki uszkodzoną była.

Na płachcie tej, wymalowany i wyszyty był znak książęcy, ten sam co na pieczęci, rycerz konny, na którego niedźwiedź napada... Chorągiew była na poły rozdarta, niedźwiedź na niej tylko cały pozostał, a rycerza głowy i rąk brakło zupełnie.

Leszek niewiedział tego i do kaplicy wszedł, a tymczasem stary Mszczuj, przestraszony, natychmiast płachtę ściągnąć kazał i posłać ją do Trzemeszna do klasztoru dla naprawy, w nadziei że niepostrzeże książę, iż jej na chwilę nie stało. Gotową też miał odpowiedź na pytanie, gdyby Leszek o chorągiew zagadnął, że dla wichru wszystkie pozdejmowano.

Inne też z drągów kazał poznać.

Z kaplicy wychodząc książę, przypadkiem podniósł głowę, zobaczył iż chorągwi czerwonej nie było, lecz innych też nie widząc, nie spytał nawet o nią.

Na Mszczuju starym uczyniło to wrażenie wielkie, bo jak wszyscy wówczas, zaboronny był i we wróżby wierzył. Sprośnie tak poszarpana chorągiew, gdy ją sam bliżej jął rozpatrywać, okazała się chyba nie od wichru podarta.

Waligóra nikomu o tem nie rzekł nic, zaufanego czelęka posłał do księży, o pośpiechu nagląc, ale sam chodzić począł jak struty.

I co mu wprzód wcale w oczy nie wpadało teraz niepokoiło.

Nocą obchodząc plac, bo spać nie mógł, najrzał kogoś wsuwającego się do Plwacza, zakradł się więc, czyhając na powrót jego i doszedł, że to był syn wojewody, który potem wrócił do jego namiotu.

Podszuchał tegoż samego naradzającego się potajemnie z łaziebny, którego i tak miał w podejrzeniu. Zaraz nazajutrz owego Supła kazał pojmać i uwięzić, co uczyniono, ale nad wieczór się rozplątał i umknął.

Baczny na wszystko Mszczuj, im mniej sam Leszek dbał o swe bezpieczeństwo, tem więcej czujności przymnażał. Niepokój niewysłowiony niedawał mu chwili usnąć, trwożył się nieustannie a że różne poszlaki i poznaki potwierdzały te obawy, poszedł w końcu z niemi do brata Iwona.

Tego teraz rzadko było można samego i wolnego znaleźć, bo albo z ludźmi był, lub spieszył do zaniedbanej modlitwy.

Dla niego sprawy państwa i kościoła, nie były żadną wymówką od obowiązków duchownych i kapłańskich i jeżeli we dnie na modlitwę nie miał czasu, odkradał go nocy.

Tak też Mszczuj go zastał klęczącego przed krucyfiksem, z obnażonymi plecami, z dyscypliną w ręku i skrwawionego już... Ledwie miał czas płaszczyk na ramiona narzucić i skryć jak mu się zdawało, to co czynił, przed okiem brata, bo się ze swoją surowością i pobożnością taił przed ludźmi...

Mszczuj też uczynił tak jakby nie widział nic.

Modlitwę ukończywszy ziemi ucałowaniem wstał Biskup i z twarzą na podziw wesołą ku bratu pospieszył. Ten miał tak posępne wejrzenie iż od razu widać było że nie z pociechą przychodził...

— Mszczuju mój — coć jest? Jużto znużonyś czy strwożony czem? — zapytał.

— Rzekłeś — odpowiedział Waligóra — tak — strwożony. Naganisz ty mi to pewnie, alem nie winien że mnie ciągle niepokój ogarnia. Nie o siebie zaprawdę — o pana.

— O pana? — spytał Biskup — a cóż cię trwoży?

— W powietrzu coś niedobrego czuję, — mówił stary. — Gdybyś mi kazał powiedzieć com widział i słyszał, nie umiałbym się tłumaczyć... a boję się. Plwacz ma tu jakieś związki, spiski... coś knują!

— Po czym to poznajesz? — spytał Biskup...

— Ludzie po obozie się wałęsają obcy, podpatrują, wysłuchują, poją... — mówił Mszczuj. — Pomiędzy naszymi swawola i pijaństwo straszne, a do niego jakaś niewidzialna ręka popycha i nastrocza... W szynkach za pół ceny piwo i miód tęgi dają...

— Masz prawo — pilnuj, a co złego jest precz z obozu wyżeń! — odezwał się Biskup.

— Tom ja czynił — odparł Mszczuj, — ale plugastwo powraca, a i z naszymi ludźmi nie łatwo, bo go bronią i kryją. Dobrze im z tą swawolą.

Biskup się namyślał nieco.

— Podejrzliwość zbytnia i nieufność grzechem też jest, mój bracie miły, — odezwał się. — Ja w tem nie widzę tylko chęć niegodziwego zarobku...

— Kiedy napoje szynkują prawie za darmo! — odparł Mszczuj. — Komuś więc o to idzie aby lud nasz wciąż pijanym był...

Biskup zamilkł.

— Ha — czyni coś każe miłość twa dla pana i wierność jemu. Czyni, a nie trwoż się. Jeżeli w tem wola Jego, uchroni nas ode złego, a jeżeli inaczej naznaczono w niebie żadnem czuwaniem nie ujdziemy wyroku...

Tu Biskup przerwał, ocierając oczy.

— Mamci ja rzec co w mej duszy tkwi? — odparł. — Pocóżbym taił? Otom i ja smutny a mało się spodziewam po zjeździe, choć on wiele obiecuje. I ja się obawiam nie wiedząc nawet czego... Lecz mogą to być trwogi i pokusy złego ducha, który zawsze czyha na człowieka aby mu siły odjął. Modłę się przeto.

Spuścił oczy Iwo.

— Jeszcze trochę cierpliwości, — dodał, — maluczko a skończy się niepewność nasza. Jeżeli Światopełk nie przybędzie a nie da o sobie znać, — zamiast tu darmo obradować, pójda na Nakło, a my wrócimy do domu...

Mszczuj ręce podniósł do góry.

— A! takby odrazu uczynić było potrzeba — zawołał z siłą — — iść na gród, zdobyć go, dopieroby Światopełk zmiękł zobaczywszy że mu to bezkarnie nie ujdzie... Leszek za dobry i za powolny jest, uzuchwała go... Mnie też — o! stokroćby lżej było wdziać zbroję i mury tłuc, potykać się, bodaj ginąć, niż tu bezsilnemu siedzieć, patrzeć, gnić i nic nie módz!

Iśćby nam! iść! tak! a potem choć przebaczyć, ale wprzódy zuchwały kark mu ugiąć.

Biskup słuchał spokojnie.

— Mówcież to panu, — odparł, — bo mnie duchownemu do wojny zachęcać nie godzi się! a są ludzie co Leszka nadziejami ludzą.

— I to może aby na czasie zyskać tylko — zawołał Waligóra, — który im na coś jest potrzebny...

Biskup niespokojnie spojrział na dogorywającą lampkę włoską, której knot syczał i pryskał. Było to znakiem dla Mszczuja aby się oddalił, w milczeniu więc, tak smutny jak przybył, wyszedł z powrotem.

Następnego dnia we dworze od rana ruch był wielki. Leszek chciał koniecznie sprowadzić u siebie Laskonogiego z Odoniczem. Od czasu jak ten przybył nie widzieli się tylko zdala, unikali od siebie. Gdy jeden u Leszka był, drugi u siebie siedział, slali się dowiadywać i Odonicz nie poszedł gdy o stryju zasłyszał, Laskonogi gdy o bratanku mu doniesiono, iż był u Leszka.

Stronili tak od siebie przez dni kilka, aż z porady Arcybiskupa postanowiono ich sprowadzić koniecznie razem i pierwsze lody przełamać do pojednania.

Gdy o tem oznajmiono Odoniczowi rzucił się jak oparzony, wykrzykując a plwając i wołając, że się to na nic nie zdało, że już raz Henryk zgodę między niemi robił, a przecie krucha była i niedługo strzymała, że i terazniejszej wróżba nielepsza.

Ledwie go uchodzono...

— Po toście przecie tu przybyli! — rzekł książę Henryk, który posłem był. — Ma się co robić, począć trzeba.

Pluł Odonicz i nic nie odpowiadał.

Laskonogi w inny sposób się wzbraniał, warując to sobie naprzód aby bratanek jako młodszy, jako winniejszy i napastnik, pierwszy prosił o przebaczenie. Zresztą gotów był ukladać się, bo w gorszym położeniu, nic mu nad to nie zostawało.

Ściągnięto Laskonogiego wreszcie, ale tego dnia położył się Odonicz i choć Leszek posyłał posły, nie stawiał się.

Dzień zszedł na niczem. Nazajutrz sprowadzono najprzód Odonicza do wielkiej izby i otoczono go tak, ażeby ująć nie mógł. Potem przyprowadzono stryja, którego zobaczywszy we drzwiach bratanek, jak wściekły się szamocąc rzucił, nie chcąc z nim być pod jednym dachem.

Przytomny arcybiskup zaklął go dopiero tak groźnie i uroczyście, że się pomiarkować musiał.

Tyle wymożono na nich, że spokojnie choć zdaleka od siebie do stołu jednego siedli. Z początku tylko się oczyma mierzyli, dopiero gdy Odonicz miodu się napił, począł słowy bryzgać, Laskonogi mało co odpowiadał, lecz za niego drudzy się ujmowali.

Przyszło do tego, że Plwacz wpadłszy w gniew, z ławy się zerwał z nożem w rękę i ledwie go poskromiono.

Pod koniec uczty on też sam się miarkować począł zwolna, i co był zły a szalony stał się szyderskim i naigrawającym.

Laskonogi znosił to cierpliwie. Ci co u stołu siedzieli, dziwna rzecz, choć sercem wcale nie byli za Odoniczem, więcej się czuli skłonni jemu potakiwać, niż obojętnemu Laskonogiemu — acz jego sprawa lepsza była.

Leszek począł do jednania się skłaniać, lecz z pierwszych słów trudność się okazała, Laskonogi który już był niemal wszystko utracił, niepomiernie wiele żądał od bratanka, a ten nic dać nie chciał.

— Com ja zdobył to moje! — wołał, — ojcowizna jest po starszym synu... z prawa moja. Nie dam nic!...

Leszek go chciał miarkować, lecz jakby swą siłę czuł, nie ustępował.

Prawdą było, że Laskonogi i duchowieństwo sobie naraził, i rycerstwo mu nie sprzyjało i ładu u niego nie było.

Słaby zawsze przegrywa, choćby prawo miał, tak bywało od wieku i tak będzie aż świętość praw wszelkich poszanowaną zostanie. Tam gdzie się aby jedno małe czy wielkie gwałci bezkarnie, w końcu żadne nie ma siły.

Rozeszli się więc zacięci nieprzyjaciele, gorzej może jeszcze przeciw sobie roznamięt-nieni niż byli, a Leszek tyle zyskał tylko, że już się z sobą spotykać i oko w oko stanąć nie tak wzdragali...

Następnych dni, mijali się na placu nic sobie nie czyniąc, i nie siedzieli doma, aby się nie otrzeć o siebie. Tyle było zysku ze starań księcia Leszka, ale on sam cieszył się i tem, upatrując, iż krok do zgody uczyniony został...

Plwacz gdy mu o tem mówiono, śmiał się i nogami tupał.

— Zgoda będzie — mówił do swoich — gdy go do lochu zamknę, albo precz wyżenę ztąd, bo przy sobie drugiego pana nie ścierpię.

## VIII

W obozie tych dni coraz było weselej. Jak biały dzień już około szynków ludzie gromadami stali, ten i ów podśpiewywał... Po namiotach kosterstwo szło w parze z kubkami... Piszczalki, kobzy i różne brzękadła odzywały się ze wszech stron głośnie niezgodnymi...

Pomimo starań tych co nad obozem zwierzchność mieli, ludzi rozkiełzanych trudno było już powściągnąć. Leszek gdy się przed nim skarżono, folgować kazał mówiąc — Niechaj się zabawią!

Zabawiali się więc, niekoniecznie niewinnie, bo w okolicznych wioskach kościelnych skarżono się na gwałty nocne i różną rozpustę. Winnego dojść w tym tłumie, prawie niesposób było...

Rycerstwo niemniej od innych dokazywało, a wśród Leszkowego Jaszko przewodził. Namiot miał osobny i drużynę swoją swawolną, z którą się nie rozstawał, a że ojca po sobie miał Wojewodę, do niego tam zajrzeć i poskramiać go nikt nie śmiał.

Czym dłużej to trwało tem się więcej rozpasywało.

Mszczuj nadaremnie sam i przez swoich na dworze bliższym księcia starał się ład jakiś utrzymać.

Ludzie młodzi widząc drugich szalejących, sami też do rozpusty nabierali ochoty, wyslizgiwali się z rąk.

Nie dosyć było obozu, gdy tu ściślej pilnować zaczęto, wymykało się po nocach i rękami co swawolniejszego do Trzemeszna, i tam Cystersi się skarżyli że w miasteczku piekło założono.

Co było mieszczaństwa płochszego, to do obozu ściągało, lub u siebie otwierało domy dla obozowych.

Wojewoda Marek który był powinien ludzi z pod swych chorągwi powstrzymywać, przez szpary na to patrzył.

Jaszko bez zbroi, w lada kaftanie cały dzień, albo w kości się bawił i zgrywał lub pił i piosnek słuchał.

Tu się wszystko co było Odrowążom nieprzyjazne zbierało.

W rozmowach często zapędzano się tak daleko, że tylko nasłuchiwać było trzeba czy kto obcy, do kółka nienależący nie podchwyci.

Jaszko sobie drwił jawnie z tego zjazdu i z mniemanej zgody jaką tu ukuć chciano, zaprzysięgając że Odonicz z rąk nie puści co wziął, a Światopełk...

Nie dogadywał do końca, łącno było się domniemywać co myślał, bo wiedziano że mu powinowatym był.

Już dni dziesiątek ubiegało na próżnem oczekiwaniu czegoś o czym nikt powiedzieć nie umiał czy przyjdzie. — Co się po dworach książęcych ogadywało wiedziano po troszę, nie troszczono się o to wielce. Ten i ów przyszedł z plotką, pogwarzono o niej i w tąż szły żarty a przekąsy...

Namiot ten Jaszków stał trochę opodal za Leszkowym dworem, że mało od niego krzyków zalatywało. Był dosyć obszerny, bo go połączono z drugim, w którym mieszkał Baran, wielki druh Jaszka, i niepoprawny koster.

Oba niewiele dbali o ład u siebie, więc u nich było jak na popasie w złej gospodzie gdy ludzi wiele a porządku mało. Zbroje się walały po kątach, suknie leżały na próżnych baryłkach, dzbanki powywracane zalegały pościelę, szaty kosztowne deptano nogami.

Pieńki, kamienie, deski ladajakie, ubita ziemia jak tak pokryta służyła za siedzenia. U drzwi i oplotków ciągle pełno się gawiedzi kręciło, a z ognia jadlo nie schodziło. Grano, pito i zajadano.

Tu to jednego pamiętnego dnia Baran zgrawszy się wioskę swą w lasach Sosnowę zwaną, ze znacznym obszarem ziemi sprzedał na wieczne czasy Ostoi, za dwa woły, sześć łokci sukna brunatnego i tuzin skórek lisich...

Drugi Suchym zwany, podpiwszy oddał też wieś za dwa kaftany, konia i dziesięć grzywien srebra<sup>4</sup>. Frymarczono końmi i psami, opończami i zbrojami, jak to się młodzieży trafia, gdy się podochoci.

Wrzawa nie ustawała dzień i noc, chyba popadali śmiertelnie znużeni, gdy sił i rozumu już nie stało, a czeladź ich pookrywała aby nie zmarzli.

Tak się właśnie zabawiano jednego wieczora, gdy w progu się pokazał Toporczyk Cedro imieniem (Teodor), i głośno zawołał.

— Do zbroi! do kordów!

— A co? a co? — poczęli koło kości się zabawiający..., z głosu czując że żartował.

— Co ma być, uradzono iść na Nakło, za dni kilka najdalej.

Jaszko śmiechem wybuchnął.

— Jeszcze my tu niejednej beczcze krew wypuścim nim do tego przyjdzie! — zawołał.

Znamci ja to od czasu jak tu jesteśmy. Rano idziemy na Nakło, a wieczorem powracamy.

<sup>4</sup>wieś za dwa kaftany, konia i dziesięć grzywien srebra — że za takie ceny wioski w XIII w. sprzedawano, świadczy Paprocki. [przypis autorski]

— Teraz, — odparł Cedro — to już pono naprawdę zatrąbią. — Sam książę się odzywa że dłużej stać i czekać sromotąby było...

Stary Mszczuj Odrowąż głośno rzekł, gdy go pytano. — Dostyc będzie czasu na zgodę gdy Nakło weźmiemy. Tam ona będzie tańsza.

Na wspomnienie Mszczuja namarszczył się Jaszko.

— Jeszczeby też i jego słuchać! — zawołał — nie dosyc brata!

— No! i Laskonogiemu się chce na Nakło — rozśmiał się Cedro.

— A jemu co z tego przyjdzie? — zawołał drugi — toć go nie dostanie...

— I inni książęta wszyscy za tem głosują, bo im się już tu stać naprzykrzyło.

— No — i ks. Konrad? — pytał Jaksza.

— I on też, boć mu od innych nie odstać — rzekł Cedro siadając. — Zobaczycie że nie dalej jutra dadzą rozkazy rycerstwu do pochodu...

Jaszko nie dowierzając ramionami ruszył — i coś zaśpiewał.

Drudzy posłyszawszy nucenie wzięli się wtórować, Cedro patrzył na nich, bo sam trzeźwy był...

— Cóż na to Plwacz? — odezwał się Jaszko rzucając kości, które mu źle padły.

— Plwacz pluje i żyma się — rzekł Cedro, — ale on jeden na tyłu...! Zaręcza zawsze a bodaj zaprzysięga że Światopełk przybędzie — a no, głupiby wierzył, prawdę rzec, bo gdyby chciał głowę skłonić, miał na to czasu dosyc.

Chociaż nowinie tej nikt jakoś wierzyć nie chciał w początku, gdy nadeszli Andruszka i Gabryk Nałęcz, i Gozdawa Petrek, a powtórzyli że tam już nie na żart o Nakle mówiono, ruszył się Jaszko od kości, kaftan i zbroję kazał sobie dać, szybko się przyodział i pobiegł, kazawszy podczaszemu swemu aby kubki nalewał, a druhów prosząc żeby nie szli precz aż powróci.

Nie było go dość długo, — przywłókł się zafrasowany i zły zrzucać zaczął z siebie odzież.

— Nie prawdęm mówił? — spytał Cedro.

— Dzisiaj to prawda — zaśmiał się Jaszko pogardliwie, — ale czy jutro będzie tak samo — nie wiem...

Nie siadł już Jaszko do kości, powiadając się zmęczonym i legł. Drudzy też poziewali i gromadka zwolna rozchodzić się zaczęła.

Jaszko nie wstrzymywał, ziewał i wyciągał się jak oni. — Lecz za ledwie sam w namiocie pozostał, zerwał się na nogi, opończę długą wdział, słudze dał przykaz jakiś i wyszedł. Krążąc poza dworcami dostał się do Plwacza — wprowadzono go do niego.

Odonicz właśnie stał wyprawiając jakiegoś człeka, który gotów do drogi, rozkazy odbierał głową potrząsając.

Gdy ten wyszedł, Jaksza się zbliżył.

— Nastraszyli nas że w pochód iść kaza, — rzekł.

Książę Władysław gniewnie rzekł.

— A no — niech idą, póki czas!! niech idą.

Z końca w koniec izby miotał się chodząc.

— Juści jutro nie pójdą! — zawołał plując — a — pojutrze.

Spojrzał na Jaksza — który głową kiwnął tylko.

Niepokój wielki i jakby niepewność widać było po Odoniczu — dodawał sobie odwagi, ale jej nie miał.

— Czas, — rzekł na wpeł do siebie — czas — bo jakby tak dłużej, ja za siebie nie ręczę, zaczyna mi go być żal...

I milczał zadumawszy się i plunął kilka razy raz po raz.

— Dobry jest! szkoda go! wszystkichby kochał, wszystkimby przebaczał, z każdymby się dzielił... Człowiek przy nim mięknie i na nicby się nie zdał.

Znowu przerwał mowę dla plucia.

— Gdzie jemu panować, — począł gwałtowniej, — jak mu rządzić! Pan rękę musi mieć żelazną, nie taką łagodną co tylko głaszczę i pieści. Albo mu kaptur mniszy przystał lub spódnica...

Na nic się nie zdał, bo przy nim i drudzy pruchnieją.

Kiedy mnie go już żal! — dodał sam dziwując się sobie.

— Miłościwy książę — odparł Jaszko, — żalując i miłując nie zrobi się nic...  
— Ja też tu nic do robienia nie mam — ofuknął Odonicz. — Światopełk niech czyni jako rozumie, ja ręce umyвам — umyвам!!

Odwrócił się do Jaksy.

— Kiedy mi go żal! — mruknął.

— I Laskonogiego też? — odparł szydersko Jaszko.

Plwacz głową potrząsał — i ręką rzucił.

Nie było co mówić dłużej, zbliżył się Jaksa i zapytał.

— Pojutrze?

Głową na to kiwnął Plwacz — lecz zarazem wnet sobie zaprzeczył.

— To jego sprawa! — ja nie chcę wiedzieć — nie chcę... Biskupi klątwę rzucają...

— To ją zdejmą! — odparł zimno Jaszko.

Postał jeszcze trochę, a widząc że się nie doczeka więcej nic, bo Plwacz bardzo zburzony chodził po izbie, Jaszko się pokłonił i wyszedł...

Nazajutrz rano, jak uchwalonem było, po nabożeństwie ogłoszono rycerstwu aby się do pochodu gotowało... Nie dowierzano temu zrazu, lecz i Marek Wojewoda, aby w podejrzenie nie wpaść, powtórzył tysiącnikom rozkaz... Mnóstwo się znalazło przeszkód, tak też około pół dnia okazało się iż nazajutrz ciągnąć ani było sposobu.

Konie na grudę listopadową nie były pokute — ludzi dużo tam i sam rozproszonych brakło, ciury z wozami pojechały za drzewem...

Ale rozkaz szedł — sposobić się. W innych oddziałach szło jeszcze gorzej. Mazury ks. Konrada potrzebowały dni kilku, Laskonogiego niewielka kupka porozłaziła się na wszystkie strony. Jeden książę Henryk Śląski, z Peregrynem swoich Niemców i po niemiecku trzymany ostro ludzi mieli pogotowiu.

W obozie zawieruszyło się strasznie, niby z pośpiechu wielkiego, a w rzeczy aby jeszcze zamęt sprawić większy... Dowódcy za włosy się rwali, ale do kupy ściągnąć żołnierza nie było sposobu. Tak to wyglądało jakby naumyślnie przeszkody do pochodu wynajdywano.

Księciu Leszkowi cierpliwość się wyczerpała. — Łagodny pan poczuł iż tem zgrzeszył że za powolnym był, chciał się poprawić i stał przy swoim.

Hasłem było. — Na Nakło! i co rychlej. — Na Nakło.

Na wszystko odpowiadał tém jednym słowem tylko.

Jak człowiek powolny gdy się na sobie pozna i słabości powstydy, Leszek chciał dowieść iż moc miał i wolę tęgą.

Nie pomagały więc żadne przedstawienia o zwłokę — mówił że czas było iść z czemkolwiek ale ruszać natychmiast.

Pierwszy to raz może tak stanowczo objawiał niezłomne postanowienie. Chwalili mu to jedni, drudzy w wojsku sarkali.

Odonicz, który przez ludzi swoich o wszystkim wiedział, miotał się dosyć w domu, a w końcu sam do Leszka poszedł.

Chmurny mu się pokłonił.

— Cóż to — zamruczał, — chcecie na Światopełka iść?

— Tak — odparł Leszek z mocą którą sobie nadać usiłował. — Nie chce on do mnie, ja do niego muszę.

— A któż mówił że nie chce? — krzyknął Plwacz.

— Ileż dni czekam ja na niego. — Ja zwierzchni pan, na tego co mi posłuszeństwo winien?

Odonicz spojrzął z pod brwi nawisłych.

— Obiecał się być — to będzie — rzekł po chwili.

— Spotkamy się na drodze, albo u niego doma — odparł Leszek który postanowił nie uledeć.

Plwacz ustąpił nieco.

— A wy co myślicie czynić? z nim iść czy ze mną? — zapytał Leszek.

Plwacz cicho, sucho zaśmiał się.

— Co? na szwagra, który mnie z poniewierki dźwignął, gdym z wygnania bosy się wyrwał? Ja? przeciw niemu?

— Na szwagra łacniej niż na stryja — rzekł Leszek — boć zawsze dalszy niż on.

— On mi nie szwagier, on mi więcej niż brat, on mi ojcem! on dobroczyńcą! — gwałtownie począł Odonicz. — Ja na niego nie pójdę!

— A na mnie? — odwracając się zapytał Leszek.

Milczenie nastąpiło. Odonicz pluł i patrzył zezem po bokach.

— Na was nie pójdę — chyba mnie zmusicie — odparł.

Poruszyło się w nim coś i górę wzięło, prawie mimowoli zbliżył się do Leszka.

— Nie idź ty na niego — czekaj! — rzekł z pewnym politowaniem.

— Nie mogę! — rzekł Leszek łagodnie, ale stanowczo. — Nie mogę, bobym się ludziom dał na pośmiewisko... Lecz, nie lękaj się o niego, dodał ciszej — nie żądam zguby niczyjej, tak niech mi Bóg dopomoże.

Przyłożył do piersi rękę...

Plwacz z politowaniem zmierzył go wzrokiem i zamilkł.

Nadchodzili też inni...

Mszczuj czynniejszy nad wszystkich, kręcił się po obozie, opieszalych strofując, nagłąc i niezważając na to, że nań głośno wyrzekano. On jeden rozkaz pański brał tak do serca, iż ani chciał słuchać o tem, by nie mógł być spełniony. Jemu się jednemu zdawało, iż wyjście jutro było możliwe... Tych co mu się śmieli sprzeciwiać, lajał i groził im...

Stał się strasznym.

Wpadłszy do obozu, nie patrzył nad kim miał władzę i zwierzchność, kto go powinien był słuchać, a kto mógł odmówić posłuszeństwa.

— Trutnie, próżniaki — wołał — jeżdżąc na koniu pomiędzy namiotami i szałasami, na pole! Zbierać się, po konie!

A gdzie namiot natrafił rozpięty nad uczującymi, Waligóra koły wyrывał, sznury przecinał i na głowy ludziom obalał. Siła dawna wracała mu z gniewem i miotał tak szałasami i dragami, iż ludzie od niego uciekali.

Miało to ten skutek przecie, iż w rozkaz pański uwierzono... W tym pochodzie po obozie Mszczuj na Jaszka natrafił, który ze swojemi się zabawiał, na nic nie zważając.

Waligóra rozszalały już i jemu namiot na głowę zwałił. Z pod płótna wyrwało się kilku z mieczami na starego.

Stanął jak mur.

— A no? — zawołał — kto ma ochotę się zmierzyć, niech podejdzie.

Baran tedy, choć na nogach się nie dobrze trzymał, przystąpił do Mszczuja chcąc go ciąć, ale nim miał czas z zamachem miecz spuścić, Waligóra go za kaftan pochwyciwszy, cisnął nim z taką siłą w kupę jego przyjaciół, iż się dwu pod nim obaliło, a Baran rozplaszczyl na ziemi.

Krzyk powstał okrutny i kilku razem opadło starca na koniu siedzącego. Dobył i on miecza w obronie... Szczęściem na tę wrzawę wypadł z sąsiedniego namiotu wojewoda i zawołaniem głośnym napastników powstrzymał.

Zaczęła się utarczka na słowa.

— Nie masz prawa rozkazywać!

— Nie ja rozkazuję, ale pan który prawo ma! — wrzasnął Mszczuj. — Kto go nie słucha, temu naukę trzeba dać.

Łajac poczęli młodzi...

Rozumniejszy wojewoda, nie zważając na nic, swoim rozkazał na bok ustąpić, a Waligórze zapowiedział, że skarżyć będzie... Tak się to skończyło, ale cała Mszczujowa gorliwość nie pomogła nic i łatwo było osądzić z pierwszego wejrzenia, że o wyciągnięciu z Gąsawy nazajutrz ani myśleć nie było można.

Waligóra który przejeżdżał się wszędzie i zaglądał po kątach, ten sam stan znalazł w obozie Laskonogiego, gdzie wszyscy rozkazywali a nikt nie słuchał, i u ks. Konrada Mazowieckiego, kędy mu obojętnie powiedziano, iż im się do wyjścia jeszcze tak nagle sposobić nie kazano. Do ludzi ks. Henryka nie zaglądał nawet Mszczuj, bo by go tam Niemcy nie wpuścili, a on z nimi nic nie chciał mieć do czynienia. Ale że się dwa stanowiska ludzi śląskich i mazurów stykały z sobą, pomiędzy nimi przejeżdżając, gdy już wieczór w tej porze wczesny się robił, postrzegł przy ognisku siedzącego Niemca, na którego widok wstrząsnął się cały.

Niepostrzeżony zatrzymał konia w cieniu stojąc, aby się lepiej przypatrzeć, czy go nie myliły oczy.



Rycerz który właśnie tylko co od ks. Konrada namiotów przeszedł powoli ku niemcom, wydał mu się tak podobnym do Gerona, którego na zamku krakowskim porąbał, iż po całym ciele przeszły mu dreszcze...

Cudem było, że się ten człek mógł wylizać z ran, a drugim, że miał odwagę po raz wtóry mu się nawijać. Lecz że ludzi podobnych na świecie wielu się znajduje, Mszczuj sądził w początku, iż mu się nieprzyjaciół przywidział.

Lepiej mu się przypatrując z boku, a pamiętając jak go rąbał, Waligóra dostrzegł niewątpliwych blizn po ranach jakie mu zadał. Ten to sam więc był człowiek, który się tu przybłąkał, choć mógł łatwo przewidzieć, że ze Mszczujem się spotkać może.

Długo wpatrując się w to zjawisko Waligóra stał jak skamieniały. W piersi mu krew falowała i gdyby pierwszego słuchał popędu, byłby się natychmiast rzucił na Niemca. Nie godziło się jednak w chwili tak pilno ładu wymagającej, wzniecać nowego zamieszania, Waligóra rad nie rad odłożył rachunek z Niemcem do innego dnia.

Uważał go bowiem za nieskończony. Los córek o których nic się dowiedzieć nie mógł, przyszedł mu na pamięć, oczy zaszyły łzami, starzec nierychło uśmierzywszy ból, pomyślał o ustąpieniu z tego miejsca, w którym się nie był powinien znajdować.

Niemiec któremu się przypatrywał, podszedłszy do ślązaków, zasiadł przy nich u ogniska, i rozmowę z nimi rozpoczął.

Z urywanych słów mógł się dorozumieć Mszczuj, że niedawno tu przybył, bo się rozpytywał o wszystko.

Postawszy na koniu czas jakiś, Waligóra przejechał obozowisko ks. Konrada, w którym o żadnym wyborze w pochód nie myślano, przynajmniej na pozór, powracał Mszczuj przerywać się zmuszony między ludźmi Odonicza. Ponieważ mrok był i nie poznawano go, a miano za jednego ze swoich, nie zważano nań i Waligóra jadąc powoli przekonał się, że tu więcej niż gdzie przygotowywano się do czegoś — chociaż odgadnąć było trudno jakie to miało znaczenie. Z rozbudzoną ciekawością Mszczuj pilno słuchał...

Starszyzna chodziła po namiotach, półgłosem wydawano rozkazy. Usłyszał jednego tysięcy, który do gromadki mówił.

— Nie spać, zbroi nie rozdzwierać... na dane hasło wszyscy mają się rzucić, gdzie im się droga pokaże i — rąbać!!

Niezrozumiałem to było dla Mszczuja, ale wielce podejrzaniem.

— Jak zatętni na drodze, — dodał dowódca — choć zdala, żeby byli ludzie pogotowiu...

Wskazywał coś rękami, mówiąc ciszej... Ludzie zdawali się to rozumieć. Niektórzy robili uwagi, że ich garść była nie wielka...

Tysięcznik ich łajał, dodając:

— Toż nie sami będziecie...

Uchwycił wśród gwaru wymienione nazwiska Leszka i ks. Henryka szląckiego, potem Władysława starszego.

Wszystko to tak było podejrzaniem, iż Waligóra aby nie być postrzeżonym, objechawszy tyłami oddział Plwacza, co prędzej podążył do swoich. Radby się był z kim o tem rozmówił — lecz do wojewody nie mógł jechać, biskupa nadaremnie trwożyć nie chciał, zmuszony został wprost udać się do Leszka.

Ten siedział jeszcze swobodnie z kapłanem prowadząc rozmowę przy którym Waligóra nie chciał się ze swych podejrzeń spowiadać. Gdy książe go ujrział, wstał i zwrócił się ku sypialni, a Mszczuj za nim wkroczył do niej.

— Cóż mi ty powiesz stary mój? — zapytał go Leszek dobrodusznie. — Pewnie ze skargą przychodzisz, że ludzie nasi nie gotowi na jutro? Spodziewałem się ja tego, i więcej mi szło o rozgłos, o Odonicza, niż o to, abyśmy jutro ruszyli.

Rozśmiał się książe, rad że tak chytrze postąpił.

— O tem już mówić nie ma co, — odezwał się Mszczuj. — Robiłem ja co mogłem, aby ludzi zmusić do gotowania się, nie wiele pomogło, tylko wojewodę obraziłem.

Miłościwy panie — ja tu z czem innym, w obozie mi jakoś i około Plwacza nie dobrze patrzy. Jakies szepty, potajemne rozkazy dają, ludziom zakazano iść na spoczynek, jakby czekali na kogoś, na znak... lękam się, uchowaj Boże napadu jakiego!

— Ale boś ty do zbytku nieufny, posądzasz ludzi daremnie — począł Leszek — mnie już wasz brat biskup ostrzegwał o tem. Ja się tu w obozie między swemi niczego nie lękam, nic się stać nie może... Jest nas tylu, siłę mamy...

— Niechajby choć liczniejsza straż przy pańskim dworze na noc zaciągnęła — dodał Waligóra...

Leszek zniecierpliwiony ręką go dotknął.

— Ani mi się waż jej stawić — przerwał gorąco. Zwróciło by to oczy, posądzili by mnie ludzie że się lękam. Nie chcę tego i zakazuję. Po co straż? cały mój obóz jest strażą.

— Ale tam ludzie do rana pić będą i pośpią się nad ranem, — rzekł Mszczuj.

— Niech śpią! — odparł Leszek obojętnie. — Mój stary, tobie bo się śni niebezpieczeństwo... Chcącemu się go dopatrzeć, zawsze się coś przywidzieć może...

Ruszył ramionami księżę — a Waligóra nie nastając, pokłonił mu się do nóg i usunął.

Leszek postąpił za nim do progu, uderzył go po ramieniu i rzekł cicho:

— A i ty legnij, dobry mój strózu. W twoich latach spoczynek potrzebny... tyś zmęczony...

Na to Mszczuj nie odpowiedział nic, poszedł z najmocniejszym postanowieniem czuwania przez noc i nie spuszczenia oka z obozu do rana.

Konia tylko na którym go jednego łatwiej ludzie postrzedz i poznać mogli, postawił u żłobu, nie zdejmując z niego siedzenia, sam zaś otuliwszy się opończą, powlókł się po obozie, między namioty unikając ognisk i światła.

Nie było najmniejszej różnicy pomiędzy dniem tym a dawnymi, ludzie pili i bawili się. Mszczuj tylko dostrzegł, że pod namioty jacyś obcy podwozili beczki, jakby na przekorę temu, iż ludzi trzeźwych mieć chciano. Piwo i miód jakiś rozdawano w ten sposób, iż łatwo było dorozumieć się, że szynkującym je o zarobek nie chodziło. Brali co im dawano, inni pochwywszy napój uchodzili nie płacąc wcale, nie ścigani. I to się Waligórze podejrzanem wydawało tem więcej, że beczki zdawały się przysuwać od strony Plwacza, u którego żołnierze wcale nie pili i stali jak na czatach.

Ogarniał go niepokój coraz większy, przypomniał sobie właśnie co mu opowiadał z obojętnością swą pańską Laskonogi jak na jego obóz pod Uściem, gdy się ludzie najmniej tego spodziewali pół senni leżąc, pół pijani napadli z zamku Odoniczowi i straszliwą mu klęskę zadali.

Poradzić na to, co się tu działo, nie mógł Mszczuj, ponieważ nie czuwał nikt, a dwór i żołnierstwo po uctowaniu spać wszystkie legło i coraz nieopatrzniejsze jakieś bezpieczeństwo widział w obozie. Musiał więc zostać na straży.

Poszedł pod dworzec pański.

Tu, jak przykazano, nikogo nie znalazł, drzwi nie pozasuwane jak zawsze, czeladź jaka była głęboko uspiona. Cisza zaczynała coraz większa świadczyć iż co żyło — odpoczywało.

Wyszedłszy na plac, dostrzegł tylko przez zasuwy okiennic, słabe światło u Plwacza, trochę ruchu ostrożnego około domu ks. Konrada, reszta wszystko we śnie głębokim pogrążona była.

Zdawało mu się, że jest tu prawie jeden na nogach, gdy u przeciwnego węgła dostrzegł kogoś, który się był wysunął i zobaczywszy Mszczuja umknął. Chciał go dogonić stary, lecz wpadłszy między szalasy z oczów stracił, tem prędzej, że noc była ciemna.

Wrócił więc na stanowisko swoje u węgła domu i sparszył się o ścianę, pozostał na niem. W chatkach wiejskich po za obozem ozwały się pierwsze kury... Powietrze było wilgotne, mgła zaczynała nadciągać i osiadać na równinie, którą obóz zajmował, wkrótce o kilka kroków nic już widzieć nie było można.

Oprócz chrapania koni i niewyraźnych stłumionych głosów, które jakby z pod ziemi wychodziły, nic nie słychać już było. Wiatr się uciszył i opadł zupełnie.

Gdzieś w tej atmosferze wilgotnej i gęstej, światełko niedogaszzonego ogniska jak czerwona gwiazdka bezpromienna słabo błyskało niby oko jakiego nocnego wdziała, błyskało, mrugało i gasło.

Na niebie które mało co od ziemi jaśniejsze było, sterczały tylko dziwacznie wyglądające chorągwie książęce na wysokich palach, które teraz zwisły i opadły i jak wszystko do koła usypiały.

Coś grobowego było w tem głuchem milczeniu i ciemnościach... Zdala nawet szum lasów niedochodził i one stały uspione a zdrętwiałe.

Mszczujowi za węglem skrytemu zdało się powtórnie widzieć wysuwającego się od drugiej ściany człowieka. Dał mu wyniść na plac śledząc co pocnie i mając myśl go pochwycić.

Cień ten wyszedł ostrożnie ku środkowi placu, popatrzył w stronę gdzie stał Mszczuj, postąpił kilka kroków oglądając się na dworzec Leszka, i gdy już Waligóra spodziewał się go móżdżek pojmać, nagle nazad się rzucił między ściany dwóch budynków około łaźni i — zniknął.

Piały już drugie kury na wsi... Dziwna i niezwykła rzecz, zdało się Waligórze jakby usłyszał krakanie kruków, które spoczywają o tej porze z innymi zwierzętami. Krucy ciągnęły gdzieś górą, nawołując się chrypliwie, złowrogie te głosy przejęły go dreszczem. Przeżegnał się, ale nie opuścił stanowiska.

W powietrzu jakby ciężkie poruszenie czuć było... mgły kołysać się zdawały...

## IX

Musiałoby już być nad ranem. Kury piały znów, na niebie coś jak szara pręga nad lasami się ukazała... W obozach gdzieś tam musieli się budzić ludzie, głuchy szmer dochodził Mszczuja.

Dzień dlań był pożądany, bo noc wydała się jak wiek długi.

W wielkiej łaźni nigdy nie gasnący ogień podkładać zaczęto na nowo, gdyż dym buchnął nad dachem i z głównego dymnika zacerwieniony od dołu wystąpił, niosąc iskry, które się na dach posypały.

Mszczuj słyszał ze swego miejsca jak rzucono przynieszone drzewo, przez szpary i otwory przedzierało się światło...

O tej porze zazwyczaj w obozie ludzie już do koni wstawać byli powinni, nic się jednak nie poruszało, nic nie budziło, kamiennym snem odpoczywali po beczkach wypróżnionych wczora.

Z wielką pociechą swą pochwycił Mszczuj mały szmer na pańskim dworcu. Leszek zwykle wstawał bardzo rano, przychodził doń kapelan z którym odmawiał modlitwy, szedł po tem do łaźni i parzył się, najczęściej gdy jeszcze drudzy spali. Dworscy wstawali naówczas i w izbie przygotowywano poranne jadło...

Waligóra oddychał łżej, z odmykanych wewnątrz drzwi miarkował, iż książę obudzić się musiał... Pilnie mając ucho na szmer najmniejszy, od strony obozu Plwacza, chwycił coś na kształt szczęku oręży i przechodzenia ludzi...

W obozie ks. Konrada ruszało się też i dziwu w tem nie było, bo ranek się robił widocznie. — Gęsta mgła tylko nie dozwalała go dojrzeć na niebie, lecz budowle rysowały się wyraźniej, ciemności rzedniały z wolna.

Dniało. Drzwi dworca otwarto i Waligóra postrzegł księcia Leszka, okrytego opończą, idącego do łaźni.

Kilku rozespianych ludzi szło przed nim, kilku za nim z odzieżą i płachtami.

Waligóra pomyślał że się straż jego skończyć mogła wreszcie i chciał już stanowisko opuścić gdy — zdała usłyszał dobrze mu znany tentent koni, który nadzwyczaj szybko się przybliżał... Umiał nawet rozeznąć iż wedle wszelkiego podobieństwa oddziałów, czy stado biegło niemal czwałem. Nie mógł nic innego przypuszczać nad to że skutek wczorajszych nakazów, po wsiach sąsiednich rozstawione konie pędzono do obozu.

Zarazem na stanowisku Plwacza ruch się stał jakiś — ostrożny lecz znaczny, i ciche głosy zaczęły dawać hasła. We dworze ks. Konrada choć światła nie było odsunęła się okiennica, dostrzegł wychyloną głowę, która zdała się nasłuchiwać i szybko potem znikła, a za nią okno zaparto. Waligóra jakąś mimowolną ogarnięty trwogą chwycił za miecz który miał u pasa...

Tentent coraz głośniejszy, coraz pospieszniejszy słychać było już dochodzący do krańców obozu, tuż, tuż... Straże ani się ozwały, więc musiało to być stado...

Wybiegł już z za węgła Mszczuj, gdy wśród owego hałasu, wyraźnie rozeznawał szczęk mieczów...

Nie było chwili do stracenia, to czego się lękał, dokonywało się, obóz spał, napad jakiś się gotował. Myśląc już tylko o panu bezbronny Mszczuj nie widział już ratunku nad ułatwienie mu ucieczki. Wkrótce byłoby zapóźno, wbiegł więc poza dwór i własnego

konia który w gotowości stał, pochwywszy, pędem z nim ku łaźni skoczył — wołając ile miał siły..., a raczej krzyżąc już tylko aby ludzi pobudzić.

Nim z koniem powrócił nazad Waligóra, już nadciągający napastnicy byli o kilkanaście kroków od placu.

Wołaniem przestraszony Leszek, jak stał nagi ukazał się we drzwiach łaźni; Mszczuj konia mu podawał.

— Uchodź — panie! — wołał.

Książę zaledwie miał czas skoczyć na koń gdy z pomiędzy dworów wiodącą drożyną, około domu Odoniczowego, wypadli zbrojni ze Światopełkiem na czele — ten z podniesionym mieczem w ręku leciał wprost na dworzec Leszka, całą prowadząc gromadę, gdy ujrzał nagiego księcia wymykającego mu się i czwałem bieżącego drogą która wiodła ku Martynowu. Część Światopełkowej drużyny z ludźmi Plwacza padła na dworzec główny, inni na zajmowane przez ks. Henryka i Laskonogiego...; Światopełk sam oszalały gwał za Leszkiem...

Na pustej tedy drodze ku Martynowu prowadzącej począł się on wyścig, którego zakładem było życie.

Koń Leszka dzielny ale ciężki, biegł o ile mu sił stawało, nagłony nogami siedzącego na nim księcia... Światopełka choć ciężar dźwigał większy bo ten był uzbrojony, młodszy był, zwałszy i świeżo wzięty, zyskiwał więc co chwila i przybliżał się coraz więcej.

Nagi, potem okryty, przeziębły Leszek modlił się już czując nadchodzącą chwilę ostatnią. Uderzał konia rękami, bił nogami, położył się na nim cały, — leciał... Lecz tuż za sobą słyszał kopyta końskie, oddech zdyszanego zwierzęcia, chrzęst zbroi nieprzyjaciela... Światopełk był wściekły, lękając się aby mu wróg nie uszedł, ostrogi wbijał koniowi w brzuch, smagał go płazem — począł wołać.

— Nakło! Nakło! dam ci dziś ja krwawe Nakło... ostatnia godzina twoja wybiła!

Leszek ani miał siły, ani chciał odpowiedzieć. Przerazało go jedno że był bezbronnym, ani miecza, ani oszczepu, ani drzazgi nawet którąby mógł w oczy cisnąć napastnikowi, zbójcy.

Rycerska krew burzyła mu się w żyłach...

Umrzeć było niczem, lecz być zabitym nie zadawszy nawet rany, nie podniósłszy nawet ręki na wroga, zgniecionym być tak mizernie — stawało się gorszem od śmierci.

W biegu już, Leszek ręką pochwyił drąg z płotu stojącego nad drogą i wyrwał go obłam znaczny... Koń ustawał... Światopełka głos nad uchem mu brzmiał — Nakłem.

Lecz w brzasku ranka opodal widać było wioskę, w której mogli się znajdować ludzie, mogli znaleźć żołnierze.

Byli we dwu tylko sami, bo reszta rycerstwa Światopełkowa padła na rabunek dworca i uśpione obozowisko.

Mógł więc Leszek mieć jakąś nadzieję że dobiegłszy do Martynowa, skryć się, obronić, nawołać tłum potrafi...

Światopełk też obawiał się tego i koniowi jego krew się lała od ran ostrogami zadawanych...

Leszek nagle gorący oddech uczuł na swem ciele, jego koń ustawał... Dłoń w rękawicę żelazną odziana chwyciła go za kark i ośliznęła się po nim.

Nadeszła ostatnia chwila obrony. — Leszek owym obłamem drąga który trzymał w ręku, uderzył w twarz nadbiegającego Światopełka — koń jego spłoszony skoczył w bok. Leszek korzystając z tego kilka kroków ku wsi się posunął.

Lecz Pomorski zbój wnet konia zmusił do nowej pogoni, i znalazł się nad Leszkiem...

Raz jeszcze książę zdołał odbić cios który mu był przeznaczony, ale kruche drzewo na żeleźcu poszło w drzazgi... W tej chwili miecz Światopełka wymierzony w czaszkę rozplątał ją... Zachwiał się Leszek trzymając konia jeszcze, gdy drugie uderzenie krwawą pręgą szyję mu przecięło.

Koń książęcy padł na przednie nogi i obalił się z nim...

Światopełk skoczył ze swojego zabierając się rąbać jeszcze leżącego i bezbronnego, gdy oczy Leszka już zachodzące śmierci mgłą, zwróciły się ku niemu. Był w nich wyraz

tak przejmujący iż Światopełkowi ręka zadrgnęła, spuścił ją — stanął jak nagle ze snu krwawego przebudzony.

— Com ci uczynił? — odezwał się łagodnym głosem Leszek...

Światopełk stał niemy...

— Com ci winien, — coraz słabnąc powtórzył książę któremu krew lała się z czaszki i opływała nagie piersi.

W głosie czuć było konanie... Oczy trzymał tak wlepione we wroga, bez zajadłości, bez wyrzutu... jakby mu tylko niemi chciał powtórzyć czego już nie mógł ustami.

— Com ci uczynił?

Szaleństwo i gniew Światopełka ustępowały widocznie jakiejś grozie, której chciał się obronić napróžno...

Westchnienie wyrwało się z piersi konającego, nad którym Światopełk mimowoli się pochylił. Raz jeszcze Leszek otworzył oczy i ujrawszy nad sobą tę twarz zbójcką, dziwnym wyrazem trwogi napiętnowaną — zamruczał niewyraźnie.

— Niech Bóg ci przebaczy! ja — przebaczam...

Światopełk usłyszawszy te słowa zerwał się nagle, przebaczenie było dlań jakby policzkiem.

Z nową wściekłością trupa popchnął nogą.

Miał siadać na koń już, gdy kilku jezdnych nadbiegło, byli to jego druhowie, a Płwacz między niemi.

Ten ujrawszy trupa obnażonego na ziemi, z okrzykiem radośnym, skoczył zaraz ku niemu, śmiejąc się dziko, plując i coś niewyraźnie bełkocząc. On jeden okazywał tę radość, której reszta ludzi objawić nie śmiała. Na twarzy Światopełka było więcej niepokoju i przerażenia niż radości...

Milczący siadł na koń, nie odezawszy się słowem do Płwacza, który się jeszcze nasycił widokiem trupa...

Gdy się to działo pomiędzy Gąsawą a Martynowem, w obozie, ludzie Światopełkowi rabowali dworzec, chciwi łupu... Jeden ich oddział, zaraz po najściu oskoczył dom ks. Henryka Śląskiego, który w łóżku jeszcze leżał.

Wyłamano drzwi i zabójcy wtargnęli do izby, nim Peregryn który spał obok miał czas przypaść na obronę pana swego. U łóża księcia stał miecz, którego w pośpiechu nie mogąc dobyć z pochew Henryk bronił się nim zasłaniając od razów, gdy Peregryn nadbiegł ledwie przyodziany i swem ciałem osłaniając księcia na nim się położył. Kupa napastników zaczęła rąbać bezbronnego, siekać razem jego i leżącego pod nim księcia Śląskiego, tak że wkrótce wierny Peregryn ducha wyzionął. Henryk też pod trupem leżący nie dawał znaku życia.

Nie zbyt bogaty sprzęt księcia, który od czasu jak uczynił ślub czystości i pobożności, strzegł się wszelkiego zbytku, nie nęcił tu długo zbójów, chwyciwszy co było pod ręką, zbiegli gdzieindziej obfitszego szukać obłowu...

Laskonogi osobiwem szczęściem nie spał gdy Światopełk nadciągał. Nie miał on najmniejszego przeczucia aby zjazd w Gąsawie tak tragicznie się miał zakończyć — jednakże niezwykła o tej godzinie wrzawa strwożyła go. Wziął miecz i hełm wybiegając do swych ludzi w tej samej chwili, gdy napastnicy drzwi wyłamywali i mieli się rzucić na niego. Korzystając z mroku książę pobiegł wprost do koni, chwycił pierwszego jakiego znalazł pod ręką i puścił się polem ku lasom. Nie ścigano go szukając po kątach domostwa, bo byli przekonani Światopełkowi ludzie że zbiedz im nie miał czasu.

Ks. Konrad Mazowiecki, co nie uszło później ludzkiego oka — znalazł się uzbrojonym i gotowym do ujęcia gdy wrzawa na placu oznajmiła o napadzie. Lecz jego kilkunastu zbrojnych dobrze siedzieli na koniach, ujechał więc spokojnie prawie, bez przeszkody, co go dało później w podejrzenie iż jeżeli w spisku udziału nie miał, przynajmniej być musiał o nim uwiadomiony.

Nim ci z Biskupów, którzy byli w Gąsawie, gdyż inni znajdowali się w Trzemesznie — przebudzeni zostali i mogli wyniść do kaplicy, z której Iwo chciał krzyż wzięwszy wprost wystąpić z nim na zbójców — krwawa owa tragedia była dokonana. — Gawiedź tylko plądrowała po kątach, unosząc opony, suknie, zbroje i co mogła pochwycić. W obozie ludzie zbudzeni ze snu twardego potracili głowy. Nie mogli znaleźć oręża, który ręka

jakaś niewidzialna pousuwała i potrząsała słomą i sianem. Koni nie było... Przerażeni swą bezbronnością ludzie uciekać zaczęli..., nie mieli czem, nie wiedzieli przeciw komu się obraniać.

Jedni pierzchli w lasy, drudzy chowali się po dołach, inni stali jak upojeni jeszcze, nie pojmując co tego zamieszania było przyczyną.

Mszczuj poddawszy konia Leszkowi znalazł się niemal sam jeden z mieczem przeciwko całej tej kupie która nań następowała. Wcale go to nie ustraszyło, wiedział że zginie, dlatego właśnie postanowił drogo kazać opłacić śmierć swoją. Zbrojni którzy na dworzec wprost spieszyli przyparli go tylko do ściany łaźni... kilku płałnął, ale następowali coraz nowi z pośpiechem i na walkę żaden nie miał czasu. Cięć parę rozbiło mu czapkę i lekko zraniło głowę. Ludzie ci co innego mieli na myśli, rabunek im smakował, do którego nie chcieli się dać wyprzedzić. — Minęli więc zgniecionego i poranionego Waligóre; i ten miał się za niemi rzucić, gdy z boku ukazał się Gero z krzykiem, jakby nań dawno czatował, przypadając do starca. Z drugiej strony Jaszko z za węgła z tyłu mieczem oburęcznym uderzył go w głowę i w chwili gdy niemiec z przebitą piersią padał na ziemię, Mszczuj przykrył go sobą.

Jaszków kord pozostał mu głęboko w czaszce, tak że Jaksza dobyć go nie mógł. Waligóra drgnął ostatnim wysiłkiem jeszcze, jęknął i ducha wyzionął. Niemca zabitego miał nad sobą...

Wśród tego zamieszania, gdy swoi od obcych rozpoznać się nie mogli, Jaszko zaledwie pozbawiony miecza odstąpił nieco, gdy Światopełkowi ludzie, mimo że im hasło jakieś krzyczał, napadli nań i zasiekli. Zbroja piękna którą wdział na siebie tego ranka była zabójstwa przyczyną, nie dali mu bowiem zastygnąć i natychmiast poczęli go z niej i z szat odzierać, o które się z sobą pokłócili...

Na polach dokoła wśród podnoszącej się mgły, widać było uchodzących kupami ludzi, pogonie i krwawe walki...

Zaledwie nadjeżdżający napowrót Plwacz kaplicę i mieszkanie księży potrafił ochronić od znieważenia i rabunku. Pomorzanie Światopełkowi na pół jeszcze poganie, nie szanowali świętości żadnych, a tem mniej tych które u nieprzyjaciela znajdowali.

Dzień cały przeszedł na zbieraniu łupów, na rozgrabianiu żywności, na zwycięskiej rozpuszcie. Przez cały ten czas żyjący jeszcze ks. Henryk Śląski leżąc musiał przykryty trupem swego wiernego Peregryna, ranny, obłany krwią zastygającą... nie śmiejąc dać znaku życia.

Plwacz, który wpadł na chwilę do izby z kilku ludźmi, popatrzył na łożo w milczeniu, zamruczał coś i — wysliznął się chmurny... Związki krwi łączyły go dawniej z Henrykiem... Wieczorem cała gromada Światopełkowa zaczęła z wozami i łupieżą zabierać się odciągać ku Nakłu...

Ludzie którzy się pochowali po zaroślach, w trzcinach nad stawem, w lesie, ostrożnie ku zburzonemu i opustoszałemu wracali zaczęli obozowi.

Jedni z pierwszych byli niemcy ks. Henryka, z których kilku dostało się do izby i posłyszawszy jęki rannego, natychmiast zdjęli z niego zabitego Peregryna.

Potrzeba było spieszyć z ocaleniem jeszcze żyjącego księcia, który cudem i bohaterским poświęceniem się swojego wiernego sługi, pozostał z resztką tchu w piersi i oznakami życia. — Natychmiast ludzie ci przygotowali nosze z gałęzi, i wśród ciemności nocnych podążyli do lasu... Po drodze przyłączyło się do nich więcej zbiegów, tak że z małym oddziałem miał książę Śląski nadzieję dostania się do Wrocławia...

Jakie były następstwa tego dramatu straszego, opowiadają dzieje. Światopełk z Pomorzem oderwał się zupełnie od Polski... Śmierć Leszka wywołała walkę pomiędzy Henrykiem Śląskim a Konradem, o opiekę nad wdową i małoletnim Bolesławem, długie wojny i niepokoje. Laskonogi nie przestał bronić się bratankowi, który w końcu ogarnął całą dzielnicę polską...

Smutne dzieje tych czasów są jednym ciągiem bojów dla panowania, panowania dla bojów. — Jedno duchowieństwo wśród tego zamętu stoi niewzruszone na swem stanowisku, w obronie prawa, którego idea zaciera się i mąci...

W ostatku prawem jedynym oręż który wszystko rozstrzyga...

## X

Zameczek na stromym brzegu rzeki, zwał się Lambach... Jeden to był z tych burgów rycersko-rozbójniczych, jak gniazda sępów porozstawianych na wyżynach, na straży rzek i gościńców... Siedział w nim zaczajony mąż zbrojny z kupą pacholków i oko miał a ucho na okolicę.

Zwykle gniazdo takie mieściło się w pobliżu brodu, przewozu lub mostu, którego ominąć nie mogły karawany kupieckie i wędrowcy; niedaleko wielkiej drogi handlowej, łączącej dwa kraje...

Na gościńcu rycerz miał ludzi co czaty sprawiali zdaleka i oznajmywali gdy się dobry łup obiecywał. Dobierano czas i miejsce do napadu, a liczono się z siłami, bo rzadko kupcy i wędrowcy bez orszaku zbrojnego się puszczali. Od jednych brano okup skromny, drugich zagarniano jak trzodę, odzierano i sadzano do ciemnic. Z niewoli można się było wyzwolić groszem...

Rzemiosło to zwało się szlachetnem i rycerskiem. Niekiedy sposobnego czasu, przy większych siłach puszczano się dalej na łowy. Lambach był takim burgiem obronnym, obwarowanym i panował nad kawałkiem saskiego kraju nad granicą, aż po promień drugiego zamku, w którym zasiadał inny rycerz drapieżny.

Podwójnym obwiedziony murem, z wyniesionem w drugim podwórku wysoko *dominium*, krągłą wieżycą — z małemi bastyonikami po rogach, z przekopem i mostem od strony łądu, uchodził za niezdojbyty...

Lecz świetne jego czasy gdy żył stary Henno już były minęły... Raniony w czasie jakiegoś napadu, rycerz ów po kilku miesiącach próżnych leków, zmarł zostawując wdowę i jednego niedorosłego syna. Chcieli się dlań znaleźć opiekunowie, ale Greta równie niepodległego jak mąż ducha nikomu do swego zamku przystępu nie dała. Ludzie jej byli wierni.

Została więc sama z dziecięciami, które się wychowywało po rycersku.

Młody dziedzic burgu nauczył się zawczasu konia dosiadać, mieczem i kopią władać, ze psy po lasach się uganiać, w potrzebie stanąć odważnie, bronić się i napadać, kubki wychylać, piosenki śpiewać i wieść życie pańskie.

Matka widząc w nim żywy obraz ojca, cieszyła się wszystkim... pozwalała na co tylko chciał, wyjątkowo nawet na takie sprawki którychby innemu nie przebaczyła.

Hans ze swojego burgu dostał się dla rycerskiego pasa, na dwór Markgraфа, służył mu, z nim razem jeździł się pokłonić cesarzowi; zaciągnął się na krótko i odbywszy nowicyat, poznawszy świata trochę, do wyższych zaczął sięgać sfer dumnymi myślami.

Właśnie naówczas zaczynał się w Niemczech słać zakon rycerzy szpitala P. Maryi, zaciągali się doń młodzi ludzie, chciwi walk i wypraw awanturniczych. Przez przyjaciela swego Gerona, którego stryj był już rycerzem tego zakonu, młody Hans wyrobił sobie że go jako ochotnika na próbę wziął jadący na Mazowsze Konrad von Landsberg...

Widzieliśmy jak dwaj młodzi nieszczęśliwie padłszy ofiarą zuchwalstwa swego, musieli zań pokutować w zamku na Białej Górze...

Gero i Hans rozmówiali się w dwu Halkach, do których ich stara Dzierła podprowadzała. Wieczory spędzane z niemi rozbudziły namiętność w obu, a dziewczęta dały się urokowi młodości, nowości, jakimuś czarowi który dwu rannych w ich oczach bohaterami czynił — pociągnąć ku nim...

Lecz — miłość to była jak te dwie istoty dziwna i smutna. Hala i Halka nie mogły mieć dwu uczuć, dwóch miłości — dwóch ulubionych. — Same nie wiedząc o tem obie zarówno pokochały Hansa. Nie zdawało się im to dziwnem — dla nich inaczej miłość przyjść nie mogła tylko jedną.

Gero namiętnie kochał tę jedną połowę dwóch Halek, pewien będąc że uśmiechy ich na pół do niego, w połowie do Hansa należały. — Z Hansem nie mówili nawet o tem, odrazu w myśli podzieliwszy się skarbem który pochwyć postanowili, choćby go życiem przyszło przypłacić.

Uciekwszy z zamku Waligóry, Hans zdołał szczęśliwie powrócić do matki z Geronem. — Postanowili oba zabrać ludzi, wyszukać pewnego przewodnika któryby ich lasami i manowcami doprowadził do Białej Góry, i dwie Halki porwać ztamtąd. Szalony ten zamysł udało się im wykonać szczęśliwiej niż się spodziewali.

Gero w czasie pobytu na grodzie porobił znajomości, wcisnął się sam naprzód niepostrzeżony, przekupił kilku ludzi, którzy potrafili czujność innych oszukać.

Nie wątpili oba że Halki pójdą za nimi, bo im obiecywali ożenienie — po którym stary ojciec musiał przebaczyć...

Wśród nocy wśliznąwszy się do zamku, Hans i Gero nieświadome życia dziewczęta chwycili pod pozorem że z nimi pojedą wprost do kościoła...

Lecz zaledwie byli na koniach, wioząc każdy z osobna swą zdobycz, otoczyła ich kupa zbrojna i musieli unikając pogoni, prawie bez spoczynku lasami się przebierać do saskiej granicy. Dwie Halki pół żywe, rozdzielone raz pierwszy w życiu, patrząc ku sobie, płacząc, przelekle dostały się do burgu Hansa... Tu najpierwej pobiegły ku sobie, objęły się rękami i tak połączone znowu omdlały...

Stara Greta, która dla syna gotową była na wszystko, przyjęła dziewczęta z macierzyńską troskliwością, chociaż nadzwyczajne ich podobieństwo, i przywiązanie do siebie wprawiało ją w jakąś zabobonną obawę.

Dopóki Halki nie nabrały sił, dano im odpoczywać... Gero czekał by należną sobie część dostać. Lecz, gdy się upomniał o jedną z nich, żadna się rozstać z drugą nie chciała — i obie zgodnie okazały dla Gerona wstręt prawie.

Hans przecie dwóch żon mieć nie mógł. — Greta mruczała aby je obie odprawić. Podobieństwo ich było dla niej dowodem że nie niewiastami jak inne, ale duchami jakimiś ziemi na pokusę ludzką stworzonymi być musiały...

Gero wpadł w gniew wielki i wściekłość, bo Hans broniąc Halek, żadnej mu oddać nie chciał z powodu że się opierały.

Wyzwali się więc dwaj przyjaciele i poranili, a Gerona z zamku wygnano.

Hans został z dwoma siostrami, rozmiłowany w nich, strofowany przez matkę, w sporze ciągłym ze starą Gretą.

Dziewczęta kochały go, płakały, jedna gotowa była drugiej odstąpić go za męża, ale żadna nie chciała przyjąć ofiary.

Stara Greta pobożna i zabobonna, rozgniewana na syna, w końcu nie widziała innego ratunku — tylko pozbyć się tych istot niebezpiecznych.

Lecz że je miała za jakieś duchy w ciało ludzkie zaklęte, obawiała się zemsty tego niewidzialnego świata, do którego należały. — Hansowi nie wolno było do nich przystąpić inaczej jak przy matce, która lękała się o swe dziecko aby związek bliższy z temi czarnoksiężnicami nie pociągnął go na wieki gdzieś w otchłanie.

Pomiędzy matką a synem nieustanne trwały spory. — Do wieży w której trzymała Halki przystęp był wzbroniony, klucz u jej pasa... Hans szalał, lecz matka o duszę dziecka troskliwa, była nieprzełamana.

A dwoje biednych dziewcząt zamkniętych płakało i schło z tęsknoty, z niepokoju i obawy.

Stan ten niepewności przedłużał się — i nie szczęśliwa matka nie wiedziała jak wyjść z niego.

Jednego dnia chciała dziewczęta życia pozbawić, drugiego lękała się zemsty duchów...; czasem łzy, bladłość, wynędznienie tych ofiar budziły w niej litość.

Hans przychodził do tego szaleństwa że starą matkę chciał uwięzić, aby mu nie przeszkadzała, lecz ludzie byli jej wierni, a Greta ostrożna.

Z dwóch świeżych kwiatków, które niemcy porwali z Białej Góry, wkrótce pozostały dwa cienie uwiedle, milczące — w oczach zdające się rozplywać.

Objąwszy się rękami pół dnia drzemały, główki przycisnąwszy ku sobie, płakały drugą połowę. W nocy bały się spać bo im się zdawało, że we śnie mogą je napaść mordercy.

Hansa matka wpuszczała tu coraz rzadziej, mówiła mu, że dziewczęta były chore i że ta choroba na niego przejść może...

Jednego dnia gdy stara Greta sama przysła do wieży, Halki drżące padły na nią na kolana, prosząc aby je puściła do domu...

— Wróciemy tam! — mówiły — my tu dla was ciężarem — a nam niewola śmiercią. Puść nas!...

Greta byłaby to uczyniła chętnie, lecz obawiała się aby syn nie pobiegł za nimi.

A dziewczęta tak ją po nogach całowały i błagały, że się zadumała. Wysła nasepiona i gniewna...



Halkom miłość wystygła w sercu, jednym kochanym podzielić się nie mogli, żyć bez siebie i tego wspólnego życia by nie umiały — musiały wracać tam, gdzieś, do starego ojca i do śmierci marzyć o dwu kochankach, którzy by byli tak jednym, jak one jedną były istotą.

Tymczasem Hans z gniewu i ciągłych sporów z matką zachorzał. Gorączka go w łóżku trzymała bezprzytomnego dni kilka.

Gdy wstał i zażądał aby go Greta puściła do wieży, dała mu od niej klucz obojętnie, nie idąc sama.

Hans pobiegł na wschody jak szalony, otworzył drzwi, krągła izba w której mieszkały stała pusta...

Okno otworem.

Na ławie leżała jakby zapomniana chusta co lzy ocierała, naczynia i sprzęty nie poruszone zdały się wczoraj jeszcze postawione dla nich... ale dwóch Halek już tu nie było.

Hans krzyknął z boleści takim głosem, iż i służba zamkowa i stara matka nadbiegła. Rzucił się, wołając co się stało z dziewczętami, grożąc śmiercią, chwytając za nóż.

Greta ręce złożonywszy na piersiach, nieporuszona stała naprzeciw niego, nieodpowiadając mu.

Dawała się wylać gniewowi, wypalić płomieniom.

Gdy Hans zapomniawszy poszanowania wszelkiego, przyskoczył ku niej rozszokowany, dziki, wskazała mu zimno na drzwi i rzekła.

— Idź, szukaj ich — uciekły dwie wiedźmy twoje! Niewiem jak i dokąd, oknem, podziemiem... przez ścianę, ale — uszły...

Ja o nich nie wiem!!

I nikt o nich nie wiedział na zamku, nikt nie dostrzegł uchodzących, nikt nie słyszał szmeru, ni jęku...

Hans napróżno kilkadziesiąt grzywien złota obiecywał temu co mu ślad wskaże. Śladu nie było, wieści nie było.

Matka widząc rozpacz syna, na krzyżu mu przysięgła, że nie wie dokąd uciekły, że śmierci ich na sumieniu nie ma.

Zwłókł się Hans nazad na swe łożo i postanowił nie przyjmować pokarmu, a umrzeć lepiej niż żyć bez nich...

Stara Greta siadła przy nim, choć ją odpychał, całując w głowę i obejmując rękami drżącymi. Gorączka wróciła znowu, i Hansa trzeba było trzymać kilku ludziom, aby w szaleństwie nie porwał się na matkę i na siebie...

Dopiero po kilku dniach osłabły wpadł w sen ciężki i zdawało się że mu życie powróci, ale wkrótce śmierć przyszła.

Na Białej Górze jakimś cudem, wśród opustoszałego zamczyska, bo Waligóra już nie żył, i gród stał tak jak beański — ujrzeli ludzie u wrót które stały teraz na oścież otwarte, dwie białe, chwiejące się na osłabłych nogach, ku bramie dążące niewiasty.

Przodem szła zgięta staruszka o kiju, która je prowadziła.

Szły tak, szły zadumane, nie patrząc, jak senne i weszły we wrota, w podwórze i powlokły się do dworca, którego drzwi były kołem podparte.

Ludziom się zdało, że widzą cienie dwóch Halek, przestraszyli się, i zbliżyć nie śmieli, a one u drzwi siadły na ziemi, założyły ręce na szyję, przycisnęły główki i zdały się usypiać.

Starsze baby — powoli przybliżyć się zaczęły ośmielone.

Jedna przypęzła do nich — Halki to były żywe jeszcze, lecz już w pół snem śmierci ujęte. Gdy ujrzały starą prządkę, wskazały na drzwi dworu... otwarto je...

Wstały chwiejąc się i weszły.

Na ognisku popiół tylko i węgle leżały, po izbie wiało chłodem zimowym... Poszły na dawne miejsce swoje do starego znanego kątku i siadły w nim spokojnie, nie żądając nic, nie przemówiwszy, objęły się — usnęły...

Czeladź tym cudem przerażona w początku jęła się niecić ogień. Ludzie się zbiegali, tłum stanął u drzwi, zalegał u progu... Baby przystawiały garnki do ognia, nieciły coraz większy płomień, zbliżały się do dziewcząt śpiących, ale ich nic nie budziło.

Były blade jak rąbek, który im główki osłaniał.

Noc nadeszła a one spały, i minęła a nie zbudziły się, zaświtał ranek — pozostały nieporuszone...

Aż prządka niespokojna odważyła się zbliżyć i dotknąć ich rąk... Dłonie ściśnięte, były jak lód zimne — uszło z nich życie. Halki wróciły tu aby umarły... I nazajutrz w jednej trumnie, tak jak siedziały uściśnięte, z rękami splecionymi, których nic rozerwać nie mogło po zgonie, poniesiono dwie białe siostrzyczki — do grobu.

1879. Sierpień.

Drezno.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/waligora-tom-iii/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Waligóra*: powieść historyczna z czasów Leszka Białego, T. 3, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff. M. Glücksberg [etc.], Kraków 1880.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0474-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).